



# WOJNA

*Polska walcząca na Wschodzie*

ROK III Nr 34 (73)

NIEDZIELA 29 SIERPNI 1943 R.

CENA 20 FLS

## WARUNEK TOTALNEGO ZWYCIĘSTWA

Przebieg wydarzeń wojennych i coraz wyraźniej zarysowująca się nieuchronna klęska militarna Niemiec spowodowały zarówno wśród czynników politycznych jak i w publicystyce anglo-saskiej duży wzrost zainteresowań odnośnie powojennego urzędzenia Europy. Stwierdzić trzeba że w tej chwili nie wiada jeszcze koncepcji, któraby nakreślała przynajmniej ramy przyszłego porządku organizacyjnego i systemu bezpieczeństwa Europy. Możliwości wskrzeszenia przedwojennej Ligi Narodów nikt poważnie nie bierze pod uwagę. Wszyscy zgadzają się z tym, że założenia, na których była oparta, nie wytrzymały próby wydarzeń. Rzeczona zaś przez Churchilla myśl utworzenia „Rady Europy” nie jest narazie niczym więcej jak idea, która wymaga opracowania od podstaw z punktu widzenia zarówno celowości jak i możliwości realizacji.

Należy uznać za rzecz pożądaną godną, że wielkie demokracje i te państwa, które na ich zwycięstwie operują nadzieje na odrodzenie swego niepodległego bytu, dotychczas nie wytworzyły sobie jasnego obrazu jak powojenny układ stosunków powinien wyglądać. Podczas gdy Hitler posiada skonkretyzowany program urzędzenia Europy na wypadek zwycięstwa niemieckiego, gdy Stalin również działa według dokładnej wykreślonej, choć może mniej reklamowanego planu, państwa demokratyczne nie wyszły dotychczas poza sferę ogólników. Fakt ten daje w ręce propagandy niemieckiej atut bezcenny — straszenie Europy ewentualnością wprowadzenia porządku bolszewickiego, który wobec braku innej wyraźnej koncepcji w obozie sprzymierzonych miałby, zdaniem Niemców, w razie zwycięstwa aliantów wielkie szanse realizacji przynajmniej w Europie środkowo-wschodniej. Nie potrzebujemy podkreślać jak tragiczne i zgubne następstwa wynikłyby, przede wszystkim dla narodów zainteresowanych, ale zarazem i dla całej Europy, gdyby ziarno propagandy niemieckiej zdołało zakiełkować, gdyby niektóre narody uwierzyły, że rzeczywiście nie mają innej alternatywy jak hitlerowskie lub sowieckie panowanie.

Było niewątpliwie słabą stroną taktyki stosowanej przez sprzymierzonych w odniesieniu do tego zagadnienia, że pragnęli oni jak dotychczas nakreślić jedynie najogólniejsze zasady nowej organizacji świata, odkładając na „po zwycięstwie” zarówno opracowanie ram tej organizacji jak i rozwijanie tak ważnych spraw jak kwestie granic, samodzielności politycznej, prawa samostanowienia o swym ustroju a nawet, jak w przypadku państw bałtyckich, sprawy bytu lub niebytu

poszczególnych państw. A tymczasem tylko ustalenie i zabezpieczenie tych właśnie spraw w każdym poszczególnym przypadku stanowić może fundament, na którym można budować gmach nowego porządku europejskiego.

My Polacy, trzeba to otwarcie powiedzieć, mogliśmy mieć wiele przyczyn do niepokoju z powodu tego rodzaju obrotu rzeczy. Rozpoczęliśmy nierówną walkę z Niemcami pierwsi w obronie całości naszego terytorium i naszej niezależności politycznej. Tymczasem po czterech latach wojny, w której ponieśliśmy ofiary wielkie jak nikt inny, znaleźliśmy się w obliczu zakusów nie tylko na połowę naszego terytorium i to zakusów pochodzących z obozu państw walczących z Niemcami, ale zarazem wobec coraz to wyraźniejszych zamiarów narzucenia nam siłą i podstępem, wbrew najbardziej oczywistej woli całego narodu, ustroju państwowego i społecznego wrogiego naszej kulturze, obyczajom, religii i odwiecznym tradycjom. Ustroju, któryby mógł nam przynieść tylko nędzę, ponieważ bezprzypadkową i w ostatecznym rezultacie całkowicie wyniszczające narodowe.

Zarazem i w sprawie zachodnich granic Polski nie znajdowaliśmy dotychczas należytego zrozumienia i poparcia naszych uzasadnionych dążeń. Zbyt wiele jest ciągle jeszcze na Zachodzie czynników, które nie rozumieją, że druga wojna światowa wybuchła między innymi nie dlatego, że traktat wersalski oddał nam za dużo z pośród zagrabionych ongiś przez Niemców Polsce terytoriów, lecz dlatego, że otrzymaliśmy ich za mało, a przede wszystkim dlatego, że nie dostaliśmy łatwiejszej do obrony granicy z szerokim dostępem do morza. Jeżeli ofiary poniesione w czasie wojny obecnej nie mają być zmarnowane, jak zmarnowana została krew przelana w latach 1914-18, jeżeli Niemcy mają być militarne ubezwojowane na czas niezbędny dla dokonania zasadniczej przemiany psychicznej tego narodu, co trwać musi co najmniej przez okres 2-3 pokoleń, należy w pierwszym rzędzie wzmocnić państwa sąsiadujące z Niemcami. Tylko wtedy, gdy te państwa, a więc przede wszystkim Polska i Francja będą dostatecznie silne, i mieć możliwość samodzielnego zapewnienia sobie bezpieczeństwa i unicestwienia w zarodku ewentualnych prób Niemiec narzucenia ustalonego porządku — będzie można mieć nadzieję na bezpieczne i szczęśliwe kształtowanie się losów Europy.

Poza tym Polska ma do spełnienia drugie jeszcze zadanie. Jeżeli mniejsze i większe narody zamieszkujące środkowo-wschodnią Europę między Niemcami a Rosją z jednej

strony i między Morzem Bałtyckim a Dunajem z drugiej mają zachować swą niezależność w okresie, który nastąpi po obecnej zawierusze, muszą skupić się wokół państwa, które nie będąc na tyle wielkie, aby chciało je poznać samodzielności będzie zarazem dość silne, aby stanowić mogło ośrodek jakiegoś nadrzędnego organizmu łączącego grupę niezależnych państw w jedną zdolną do samobrony całość.

Wszelka federacja, konfederacja czy inny związek państw nie będzie mógł nigdy reprezentować realnej siły, jeżeli jego członkami będą tylko państwa słabe. Geopolityka nie opiera się na prawidłach matematyki i szeregi złączonych z sobą słabych państw nie może jeszcze wytworzyć silnego organizmu. Niezbędny dla tego celu jest trzon w postaci przynajmniej jednego silnego państwa. Tę rolę w Europie środkowo-wschodniej wypełnić może tylko Polska.

Wydaje się, że ta prawda znajduje wreszcie zrozumienie i na drugiej półkuli. Wybitny publicysta amerykański Walter Lippman zajmując się na łamach „New York Herald Tribune” analizą układu sił w powojennej Europie podkreśla, że głównym problemem dyskusji nad uporządkowaniem granic w Europie będzie przyszła rola Francji i Polski. Według Lippmana Polska i Francja są nieodzownymi czynnikami nie tylko dla cywilizacji, ale i dla bezpieczeństwa Europy oraz dla ustanowienia trwałego pokoju. Inne kraje są także niewątpliwie ważne, pisze Lippman, ale tylko jeżeli sprawa granic i stanowiska Polski będzie uregulowana, można będzie wprowadzić państwa naddunajskie (dodajmy i nadbałtyckie) do porządku europejskiego. Dlatego też, konkluduje Lippman, należy z Polski uczynić mocne państwo dając jej nie żaden korytarz, ale granicę morską. Taka silna Polska będzie wówczas naturalnym, stanowczym aliantem przeciw odrodzeniu się potęgi niemieckiej.

Wyciągnięty tego rodzaju słuszne wnioski ze swego rozumowania popada jednak Lippman następnie w sprzeczność sam ze sobą. Mianowicie stwierdza konieczność istnienia silnej Polski i proponując rozszerzenie jej granic na zachodzie, sugeruje rewizję granicy polsko-sockwieckiej „uwzględniając w sposób należyty religijne i kulturalne interesy tego mieszanego obszaru”. Z tego zdania stanowiskiem zgodzić się oczywiście nie możemy. Argumentów w tej sprawie, naszych, polskich, któreśmy na tych łamach wielokrotnie przytaczali — powtarzać teraz nie będziemy. Nie będziemy się też powoływali na argumenty natury moralnej, że za udział w walce z Hitlerem nie można nikogo karać pomniejszeniem terytorium. Ale rozpatrzymy argumenty wypływające bezpośrednio z rozumowania Lippmana, przemawiające przeciwko jego tezie rewizji granic Polski na wschodzie.

Wydaje się bezsporne, że Lippman chce przetrząsnąć Polskę rolę bastionu bezpieczeństwa państw Europy środkowo-wschodniej. Ale jakże rolę tę mogłaby pełnić Polska okrojona na wschodzie z wielkich połaci swego terytorium, nie posiadająca kontaktu z państwami bałtyckimi, z Rumunią a może i z Węgrami? Taka Polska czując się zagrożona na wschodzie, nie mogłaby oczywiście wypełnić swej misji na zachodzie. Cały system polityczny, którego filarem miałaby być Polska, byłby skazany na nieuchronną zagładę, a przed tą częścią Europy stałoby widmo najstraszniejszego chaosu. Zburzenie dzisiejszych wschodnich granic Polski byłoby równoznaczne z politycznym ubezwojowaniem naszego państwa i przesądzałoby w sensie negatywnym istnienie państwowości i niepodległości narodów Europy środkowo-wschodniej.

Dlatego też nie należy mieć złudzeń. Istnienie silnej Polski zwalczane będzie przez wszystkich, których celem jest podbój i ucisk innych narodów, zniszczenie kultury chrześcijańskiej oraz demokracji i ustanowienie na ich gruzach własnego porządku opartego na gwałcie i niewoli. Zakończenie wojny z Niemcami, może już niedalekie, nie będzie więc dla nas według wszelkiego prawdopodobieństwa otwarcim wrót do ziemi obiecanej, ale postawi nas wobec nowych prób i zmusi do nowych wysiłków. Jak już wiele razy w historii, znów będziemy musieli budować ze swych pierśsi tamę chroniącą świat przed potopem niosącym z sobą barbarzyńskie zniszczenie wszystkiego co nam święte.

Sami zadaniu temu poddać nie będziemy mogli. Istnieją dwie ewentualności: albo wielkie demokracje zrozumieją wielkość i doniosłość misji Polski jako silnego i niepodległego państwa i wyciągną z tego konsekwencje, albo wszystko znów się rozsypie w gruzy.

Z radością niezmierną i otuchą głęboką wysłuchiwałem przeto słów wielkiego chorążego idei wolności — prezydenta Roosevelta — wypowiedzianych w drugą rocznicę podpisania Karty Atlantycznej:

„Chciałbym wspomnieć w szczególności dwa cele i założenia Karty, na których operujemy nadzieje na lepszą przyszłość świata;

„pierwszym jest poszanowanie prawa każdego narodu do wyboru formy ustroju, w którym pragnie żyć... drugim jest współpraca w światowej skali mająca zapewnić bezpieczeństwo dla wszystkich...”

Prowadzimy dziś wielką wojnę. Stoimy w tej chwili na progu decydujących rozstrzygnięć w tej wojnie. Jesteśmy w zdecydowaniu odnieść totalne zwycięstwo i zdajemy sobie sprawę z faktu, że wrogami naszymi są nie tylko Niemcy, Włochy i Japonia, ale wszelkie siły ucisku, nietolerancji i niesprawiedliwości, które stoją na przeszkodzie pochodowi cywilizacji.” Zbigniew Raciński

# BLASKI I CIENIE PEWNEGO SOJUSZU

Sojusz polsko-rumuński był dziełem Józefa Piłsudskiego, który znalazł w Rumunii godnych zwolenników swej idei w osobach króla Ferdynanda i królowej Marii. Mało które posunięcia polityczne Piłsudskiego spotkało się z tak jednogłosem poparciem narodu polskiego i kolejnych jego rządów. Lecz i w Rumunii wszyscy wybitniejsi politycy — z wyjątkiem zdeklarowanych germanofilów — stali na gruncie przymerza z Polską. Potężna dynastia polityczna Bratianu, Take Ionescu, Duca, Maniu — wszyscy oni widzieli współzależność Polski i Rumunii jako wysuniętych placówek cywilizacji zachodniej na wschodzie. Romani, ze linia Bałtyk-Morze Czarne jest osią życia obu narodów. Brak sporów granicznych i niestety nie wykorzystane możliwości współpracy gospodarczej winne były ułatwić współdziałanie, którego brak w czasach przedrozbiorowych był jedną z przyczyn słabości Polski i które, czy nie opóźniał również rozwoju świadomości państwowej w ówczesnej Mołdawii i na Wołoszy.

**GRZECHY;** Można dziś ze zdumieniem zapytać, dlaczego Polska nie potrafiła w ciągu wieków poprawić konsekwentnej polityki wobec obu tych ksiąstw? Dlaczego nie widzieli w nich naturalnych sojuszników najpierw wobec Turcji, a następnie Rosji? Dlaczego nie obją ideą unii i federacji, którą związała się z Litwą, również swych południowo-wschodnich sąsiadów, przysparzających jej nieraz tyle kłopotów? Dlaczego nie dopomogliśmy do szybszego wyzwolenia się praocjów dzisiejszych Rumunów spod tureckiego wasalstwa?

Świadomość tych zagadnień budziła się niejednokrotnie w dawnej Polsce. Gospodar Mołdawii Piotr składał hołd Władysławowi Jagiellom uznając zwierzchnictwo Polski nad sobą. Były próby osadzenia książąt polskich lub — jak z czasów kanclerstwa Jana Zamoyskiego — bojarów mołdawskich z Polską związanym na tamtejszym tronie. Mieliśmy zawsze w tych krajach licznych stronników. Były okresy przymerzy i przyjaźni. Były zamiary uporządkowania wzajemnych stosunków siłą. Husaria Sobieskiego zapuszczała zagoni aż po Buzau i Dunaj. Ale nie było konsekwentnej polityki.

Biliśmy się za to ze Stefanem Wielkim, którego Rumuni uważają za swego bohatera narodowego. Ponieśliśmy od „zdradliwej” Mołdawii jedną z największych klęsk militarnych, kiedy to w lasach Bukowiny „za króla Olbrachta wyginęła szlachta”. Intrygi najpierw Turcji, potem Rosji okazywały się silniejsze od wpływów polskich. W rezultacie oba księstwa pozostawały w zasięgu obecnej nam polityki niejednokrotnie jako wysunięte placówki naszych wrogów.

**POLACY U KOLEBKI** Wszystko to zmieniło się raptem po upadku Polski. Po powstaniu listopadowym zjawiała się na Mołdawii emigracja polska — owa „wielka emigracja”, której pragnienie dziś daremnie dorównać. Wniosła ona do zafascynowanych stosunków mołdawsko-wołoskich powstanie nowych myśli, idei i dążeń. Zbudziła ambicje narodowe. Rozwinęła pęd ku wolności. Wpływ jej był tak wielki, że nawet

podręczna angielska encyklopedia historyczna (An Encyclopaedia of World History) traktująca sprawy rumuńskie niezwykle powierzbownie uważała za wskazane wpływ ten uwydatnić. Polacy byli u kolebki rumuńskiego ruchu wolnościowego.

Potężny umysł Adama Czartoryskiego zaczął rozwiać ideę wyzwolenia narodów bałkańskich oraz ich zjednoczenia. Jego agenci byli doradcami przywódców powstającej społeczności rumuńskiej. Jego też praca rzuciła podwaliny pod współczesną przyjaźń polsko-rumuńską, która rodziła się nie w okresie naszych triumfów, ale w czasie naszych niepowodzeń. Tym jest przez to cenniejsza i tym powinna być trwalsza.

**SOJUSZ** Ideę Czartoryskiego podjął Piłsudski, gdy tylko Polska po odzyskaniu niepodległości mogła znowu prowadzić własną politykę. Byliśmy wierni przyjaźni Rumunii przez cały okres dwudziestolecia. Pamiętamy nie kończącą się serię polsko-rumuńskich wizyt oficjalnych, które w przededniu wojny 1939 roku poruszały naszą opinię. Stosunki nasze dyplomatyczne i wojskowe stały się bardzo zażyłe. Sojusz polsko-rumuński, choć niestety nie był podmurowany silnym współdziałaniem gospodarczym ani dostatecznym współżyciem obu narodów, stał się podstawą organizacji Europy środkowej. Był wyrazem samodzielnego stanowiska zarówno Bukaresztu, jak i Warszawy.

Polska starała się w szczególności o znormalizowanie stosunków rumuńsko-sowieckich. Znajdowaliśmy się w położeniu o tyle wygodniejszym od Rumunii, że Moskwa nigdy nie kwestionowała traktatu ryskiego ani swoich granic z Polską. Nie chciała natomiast uznać wschodniej granicy Rumunii. Polska robiła wszystko, by usunąć ten stan rzeczy. Uchylała się od zawierania z Rosją takich umów politycznych, które nie obejmowałyby Rumunii. Pośredniczyła wielokrotnie między Bukaresztem a Moskwą. Wysiłki jej, a w końcu zagrożenie Rosji przez Hitlera po jego dojściu do władzy, skłoniły wreszcie Moskwę do zmiany polityki. W lipcu 1933 roku, w czasie międzynarodowej konferencji gospodarczej w Londynie, Rosja podpisała ze wszystkimi swymi zachodnimi sąsiadami a więc i z Rumunią protokół o „określeniu napastnika” jako załącznik do paktu Kelloga. Był to pierwszy akt usuwający próżnię między Rosją a Rumunią. Później doszło do zawarcia między oboma krajami paktu nieagresji, a w czerwcu 1934 roku układu, w którym Polska, Rosja i Rumunia porozumiały się o wzajemnej granicy. W roku 1939 w Niemcях mierze dzięki pomocy Polski Rumunia miała uregulowane pomyślnie swe stosunki z Rosją.

O „PRAWO W wrześnie 1939 roku PRZEJŚCIA” ku Polsce nie domagała się od Rumunii na zasadzie istniejącego przymerza wystąpienia zbrojnego przeciw Niemcom. Domagała się natomiast przyznania jej szerokiej możliwości transzytowych poprzez tereny Rumunii. Możliwości te zostały nam udzielone i do portów rumuńskich zaczęła napływać pomoc aliantów zachodnich dla Polski. Wkroczenie wojsk sowieckich na ziemię polską w dniu 17 września nie pozwoliło wszakże na wykorzystanie tych udogodnień.

Rząd polski przewidując opuszczenie kraju zwrócił się wówczas do Rumunii o przyznanie „prawa przejścia” poprzez jej tereny dla naczelnych władz polskich i wojsk udających się do Francji, by dalej prowadzić walkę. Dotychczas ani rząd polski, ani też rumuński nie ogłosili dokumentów z tego okresu. Trudno więc ustalić, czy owo „prawo przejścia” udzielone było jeszcze w Kuchach ustnie przez ambasadora rumuńskiego, czy też w formie wiążącej noty. Faktem natomiast jest, że zostało ono następnie cofnięte. Ówczesny prezydent Rzeczypospolitej, rząd, wojsko uległy, wbrew oczekiwaniom, a jeśli chodzi o osoby cywilne nawet wbrew prawu o neutralności, internowaniu przez władze rumuńskie. Rumuni tłumaczyli swą decyzję brakiem naruszeniem neutralności przez polskie naczelne dowództwo, które z Czerniowic wydawało rzekomo rozkazy do wojsk walczących w Polsce, bądź też wzrost ultimatum niemieckim. Historia rozpląca tajemnicę tego dramatycznego okresu i odkryje na pewno jeszcze wiele sensacyjnych szczegółów.

**ZAMORDOWANIE** Natomiast w tym **PREMIERA** czasie, bo w dniu **CALINESCU** 21 września zaszedł fakt, który

zdaje się głównie zaważył na powyższych wydarzeniach. Na ulicy Bukaresztu padł zamordowany premier, człowiek silnej ręki i jasnego umysłu, zdecydowany bronić pełnej niezawisłości Rumunii w oparciu o Polskę, Anglię i Francję — Armand Calinescu. Nie ulga już dziś wąpieliwości, że zginął on z poduszeczek Niemców. Był to strzał celnie wymierzony. Złamał on istotnie kręgosłup polityczny Rumunii.

Po krótkim okresie rządów wojskowych gen. Argeseanu do władzy doszedł George Tatarescu, jeszcze zwolennik koalicji, ale człowiek mięki, ostrożny, chwiejny. W Rumunii zwyciężyła idea ścisłej neutralności.

Nie przeszkadzało to Rumunom odnosić się z żywą sympatią do Polski, która wciąż była popularna. Stosunki dyplomatyczne polsko-rumuńskie były nadal zażyłe. Obecni naciski nakazywały co prawda rządowi rumuńskiemu internować wojsko polskie, ale uczucia i sympatie skłaniały społeczeństwo do okazywania nam gościnności, przyjaźni i zrozumienia na każdym niemal kroku. Stosunki wzajemne wpływały wówczas między trudnościami formalnymi, tu i ówdzie szykanami lub nadużyciami władz rumuńskich a chętną pomocą i serdecznością ze strony ludności oraz wielu wysoko postawionych osobistości. Rumunia, choć nie przyznała nam „prawa przejścia”, stała się mimo to jednym z najważniejszych szlaków polskich ku wolności. W oparciu o jej tereny organizowaliśmy częściowo nasz opór. O tym nie powinniśmy zapominać.

**ZABOR** Nagłe i niespodziewane zajęcie przez **BESARABIĘ** wane zajęcie przez **ROJĘ** i **BUKOWINY** sję na skutek upadku Francji latem 1940 roku Besarabii i Bukowiny wywołało nowy zwrot w polityce rumuńskiej. Porzuca ona faktycznie neutralność i przerzuca się do obozu antysowieckiego wpadając w otwarte ramiona niemieckie, by szukać w nich zabezpieczenia przed Rosją. Polityka sowiecka w tej wojnie wykazała istotnie zadziwiający talent wzbudzania

przeciw sobie nieufności wśród zachodnich sąsiadów ZSRR. Kończąc się jednak jednocześnie w Bukareszcie wpływy zagrożonej zdawałoby się śmiertelnie Anglii. Kończąc się możliwości Polaków, niezachwianych sojuszników W. Brytanii.

Brutalny zabór przez Rosję wschodnich i północnych prowincji Rumunii miał dwa następstwa: torował drogę do władzy w Bukareszcie skrajnym żywiolom filoniemieckim, prowadził do okupacji Rumunii przez wojska niemieckie, które zostały przejęte jako jedyni realni obrońcy przed zarysowującym się niebezpieczeństwem sowieckim.

Niemcy — zajęci walką z Anglią — doradzali początkowo Rumunom podzenie się z sowieckimi zaborami. Wzaminam za udzieloną Rumunii pomoc i gwarancję kazali nawet płacić jej dalszymi ustępstwami terytorialnymi, tym razem na rzecz Węgier i Bułgarii. W tajemnicy zaś przed „przyjaźnią” Moskwą utrzymywali okrojonych z wszystkich stron Rumunów w przekonaniu, że chwila odwetu nadejdzie, że wojna z Rosją jest bliska.

**NIEMCY GOS-** Tymczasem zakwa- **PODARZAMI** terowali się w Rumu- **KRAJU** nii na dobre. Objęli ją nie tylko w mili-

tarne posiadanie, ale zawładnęli nią politycznie. Pod ich wpływem doszło na jesieni 1940 roku do rewolty skrajnie nacjonalistycznej „Zelaznej Gwardii” i obalenia skompromitowanego bezsilnością wobec obcych zaborów króla Karola II. Władzę objął — po intronizacji młodocianego króla Michała — germanofilski generał Antonescu, wicepremierem został wódz „Zelaznej Gwardii” Horia Sima. Rozpoczął się okres rewolucyjny i awanturniczy. Rozruchy uliczne, rzemie Żydów, wystrzelanie bez sądu ludzi związanych z rządami Karola II, potworny mord na osobie znanego na całym świecie prof. Jorgi — oto ponure ilustracje tego okresu. Przerwał go w styczniu 1941 roku gwałtowny spór między gen. Antonescu i Horią Simą. Kilka dni trwały walki na ulicach stolicy między „Zelazną Gwardią” a wojskiem oddanym Antonescu. Spór rozstrzygnął w końcu Hitler na rzecz generała, który dawał większe gwarancje utrzymania w kraju ładu. Horia Sima uciekł do Niemiec, gdzie zatrzymano go w rezerwie jako narzędzie szantażu na Antonescu. Drugim narzędziem groźby jest stałe straszenie Rumunów Węgrami i wymuszeniem na Rumunii dalszych ustępstw terytorialnych na rzecz Budapesztu. Sprawa Transylwanii służy znakomicie Berlinowi do klócenia Bukaresztu z Budapesztem dla tym silniejszego panowania nad obu krajami.

**ZWROT** Polityka Antonescu **DO POLITYKI** sprowadziła Rumunię **WASALSTWA** na dawne tory wasalstwa książąt mołdawskich i wołoskich. Zmienił się tylko zwierzchnik. Nie jest nim Turcja, ale Niemcy. Bukareszt znowu zatracił linię samodzielną, zdobył ją po tamtej wojnie.

22 czerwca 1941 roku Rumunia przystąpiła do wojny z Rosją sowiecką. O ile wszakże bój o odzyskanie Besarabii i Bukowiny nie nasywał wąpieliwości w społeczeństwie rumuńskim, jak o tym świadczy nawet orędzie krytyków polityki mar-

(Dalszy ciąg na str. 4)

# OSTATNI SIERPIEŃ

(Fragment z powieści)

Las huczy od twardych, krótkich uderzeń siekier i przeciągłego łoskotu walących się drzew. Jest w tym odgłosie jakiś nieuchwytny rytm, okresowość, powtarzalność, mechaniczna celowość pracy. Jak gdyby ktoś rozdzwonił krótkimi dźwiękami, o jednakowej prawie barwie tonów, dziwny ksylofon. Od czasu do czasu jęknę tylko podcięte drzewo i uderzy głucho o ziemię z suchym trzaskiem łamiących się gałęzi. Wtedy idą w głąb lasu, w słoczone, brązowe pnie sosen coraz bardziej, szerzej rozchodzące się echa — zupełnie jak te półkregi fal na jeziorze przede mną, gdy upada na wodę świeżo zrąbana olcha i rozbija błękitną powierzchnię w tęczkowe rozbrzyzi.

Siedzę — do połowy rozebrany — na szerokim pniu, nad samym brzegiem jeziora. Sierpniowe słońce, pochylone już nad lasy, grzeje jeszcze w płce i rozleniwia, rzeźbi w bezruchu i bezczynności. Patrzę na jezioro. Jest błękitne, ogromne, rozchybotane słońcem, jednakowe. Jak duża tafła szyby oprawiona w sosnowe ramy lasu. Bo las jest wszędzie. I tam, na ledwo widocznym przeciwnym brzegu — zamglony przestrzenia, siny, wcięty zębata linia wierzchołków w niebieski jedwab nicba i tu — bliski, pachnący żywicą, rozbudzony brutalnym, zwycięskim pochodem siekier.

Obracam się. Załamana zygakiem linia drwali posuwa się coraz głębiej. Z lewej strony przecieka już przez kolumny sosen jasna zieleń polany. Gdy dojdą tam — na dzisiaj będzie koniec.

Już od paru dni robimy umocnienia obronne nad augustowskimi jeziorami. Rozciągamy kołczaste pajęczyny drutów, wbijamy w leśną gęstwinę słoneczne kliny wolnej przestrzeni, kopiemy gniazda karabinów maszynowych z polem obstrzału na groble i drewniany most, łączący oba brzegi jeziora w największym jego miejscu.

Jakie to wszystko dziwne — myślę. Nikt by nie przypuszczał, że w tej opanowanej, skoordynowanej pracy tkwi jednak pośpiech, nerwowy pośpiech przed czymś, co zbliża się wolno wprawdzie, ale jest coraz większe, wyraźniejsze, groźniejsze. To tak, jakby gospodarz narzucał szybko na wóz resztki siana ze skoszonej łąki, by zdążyć do stodoły przed burzą, by zatrzasnąć wrota zanim zerwie się wichur i upadną pierwsze, ciężkie krople deszczu...

Ułani rąbią ostatnie drzewa przed polaną. Niedługo powinny przyjechać już wozy. Przy moście majstrują coś pionierzy. Jutro, najdalej pojutrze założą miny i most przestanie być drewnianym wwiązaniem desek i pali, kłama, po której można skoczyć z jęcznego — pachnącego żywicą, odkrytego cieniem i szumem sosen brzegu — na drugi, taki sam brzeg. Będzie tylko pewnym znakiem topograficznym na mapie sztabowej, strategicznym punktem oporu, ładunkiem trotylu — progiem śmierci...

Po tamtej stronie jeziora, przy końcu piaszczystej drogi, która wychyliła się z drzew i zbiega łagodnie ze wzgórze do mostu, stoją już wbite w ziemię betonowe słupy przeciwzołgowych zapór. Tą drogą — z tej zieleni, szumów, zapachu żywicy — mogą przyjść czolgi i wojna.

Czy przyjdzie, czy przyjdzie — myślę — patrzę jak ulani po skończonej już pracy rozbierają się i skaczą do wody. Ciepłe, duszne

powietrze wypełnia się hałaśliwą wrzawą głosów, śmiechem i pluskiem wody.

— Czy przyjdzie i czy potrafią zatrzymać ją tutaj te betonowe słupy, ten most kryjący w swych przysłach trotylowe pioruny zniszczenia, te gniazda karabinów maszynowych? Czy nie przewali się przez to wszystko i potoczy dalej, na Szczebrę i te inne wioski w których stoimy teraz na kwatrach?

Wiele mówi się w ostatnich dniach o wojnie. Ale wojsko, ulani, podchodzi do tego na swój sposób. „Nicc Niemiec zacznie — mówią — dostanie po mordzie, że i obliczać się nie będzie miał czasu”. A jednak przez takie, czy podobne powiedzenia, przez cały spokojny, regularny, mechaniczny tryb żołnierskiego dnia przebiega się wyraźnie jakieś zdenerwowanie i niepokój. Szef szwadronu, wachmistrz Wędkiewicz, chodzi od paru dni dziwnie zamyślony i poważny. Zapomniał nawet o swych codziennych kwiecistych przemówie-

Zbiegamy z brzegu i stajemy pod mostem na dwóch wystających z wody palach. Przed nami, w odległości mniej więcej stu metrów, wąski przesmyk jeziora rozbija się o białą plamę piaszczystej wysepki i rozlewa się za nią w ogromną, błękitno-srebrną przestęź.

— Do tej wysepki — mówi Jaszewski gotując się do startu.

— Jazda!

Skaczymy. Wchodzę w wodę za głęboko. Jaszewski jest już o dobre dwa metry w przodzie. Widzę tylko skłębioną smugę piany i wolne, rytmiczne ruchy jego ramion. Płynięmy obaj „crawlem”. Słońce rozleniwilo mnie jednak. Mimo chęci zrehabilitowania się za poprzednią przegrana, zbliżam się do niego o niecały metr zaledwie. Tak depływamy do wysepki. Dysząc ze zmęczenia rzucamy się na ciepły, sypek, miękki piasek. Na lewo od nas kładzie się na jeziorze w ostrym trawersie biały żagiel. Słońce rozlaca się na płótnie, lecz ścieka w dół w miarę, jak za-

Tymczasem tamta trójka po krótkiej naradzie rusza na powrót do łodzi. Dziewczyna wsiadając ogląda się i robi jakiś wesoły ruch dłonią w naszym kierunku. Odbijają od brzegu. Podnoszę rękę i macham nią nad głową. Biały żagiel oddala się szybko. Niebieski kostium dziewczyny jest już tylko niewyraźną plamą, wreszcie zacięra się, gubi, rozplywa na jeziorze.

— Trzeba wracać — odzywa się Jaszewski. Wozy pewnie przyjechały.

— Tak, trzeba — odpowiadam z roztargnieniem śledząc uciekający żagiel. Właśnie kładzie się nad wodą nisko, nisko, jak cień obłoku, jak odlatująca mewa.

— Widzę, że wpadła panu w oko ta blondynka — mówi Jaszewski.

— Nie o to chodzi. Po prostu ogromnie mi kogoś przypomina.

Jaszewski ciągle jeszcze patrzy na mnie z wyraźnym hamowanym uśmiechem. Nie rozumiem dlaczego, ale uśmiech ten zaczyna mnie niecierpliwie i denerwować.

— Wracamy — mówię krótko.

Płynięmy powoli, milcząc. Słońce opadło już na lasy i znieruchomiałe wierzchołki sosen nurzą się w głębokiej, nasyconej czerwieni zachodu. Woda jest bardzo ciepła, spokojna, pełna cieni i miedzianych, błyszczących refleksów. Wychodzimy na groble. Wozy już stoją. Uwieram się szybko, bo pluton ładuje właśnie sprzęt, a kapral Kremer pogania ludzi krzycząc głośno na spóźniających się. Kremer jest bardzo porządny chłopcem, ale nie lubię jego ostrego głosu, który pełen jest zawsze zawieszoności, gniewnego krzyku. Siadam z pierwszą sekcją, z którą kwatruję na małym folwarku na skraju wsi. Sekcyjny Jaskółski, świeżo upieczony kapral służby czynnej, częstuje mnie „machorkowym”. Papieros smakuje po kąpieli wyśmienicie.

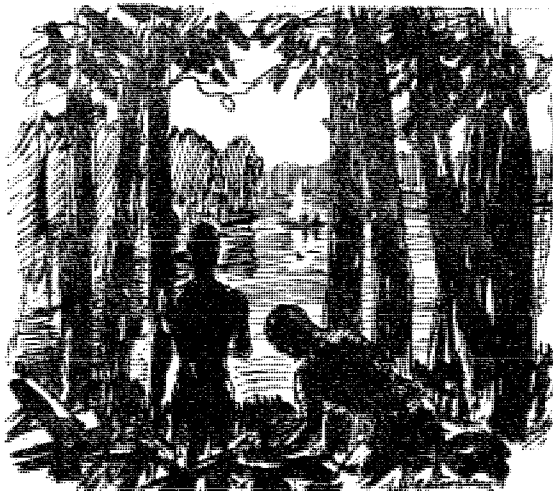
— Widziałem jak pan podchorąży robił wyścigi w wodzie z panem plutonowym — zagaduje Jaskółski.

— Gaz to obydwaj panowie mają, nie ma co. Tylko woda furczała. Ja teżem się popływałem. Tylko, że ja to nie umiem — jak to mówią — stylowo. Ot tak, po swojemu. Ale woda znam panie podchorąży. Jak mały kto znam wodę. Ojciec młyn wodny miał we wiosce. A ja od „dziecka” już z wodą. Bywało, nie jednego za uszy się wyciągnęło. Uf, gorąco dzisiaj jak we żniwa — dodaje odpinając kolnierz drelichowej bluzy. Jaskółski zawsze jest rozmowny. Nie słucham co mówi dalej. Nie wiem dlaczego, ale myślę o dziewczynie z jeziora...

Jedziemy już lasem. Podrzuca mocno na nierównej drodze i wystających kerzeniach. Koła turkacza, rozdzwaniają się obręczami i lub cichną w miękkim, głębokim, kępnym piasku. Turkot kół narzuca wspomnienie tamtego wierzera.

... Pulmen kołyszę rytmicznie, miarowo, usypiająco... koła wystukują w spojeniach szyn mijane kilometry... jakaś stacyjka przeleci moją smugą światła z szarymi kwadratami miękki... potem gwarny, jasny preron grodzieńskiego dworca... miękki, ciepły uścisk dłoni... i oczy, które mówią więcej niż zwykle, pożegnalne słowa... czerwone światło oddalającego się pociągu... tak, to wszystko.

(Dalszy ciąg na str. 4)



niach po apelu wieczornym. Ale zato w plutonie aż huczy. Chłopcy są w doskonałych humorach i groźba wisząca w powietrzu wojny podnieca ich tylko, a niektórych — co tu dużo mówić — nawet cieszy. O, bo też to jest wyjątkowy pluton.

W wodzie jest szumnie, głośno, wesoło. Od belki wystającej z przęsta odbija się ktoś mocnym, sprężystym rzutem i skacze do wody piękna, płynna „jaskółka”. Co za skok! To pewnie ten plutonowy z pionierów, no, jakże on się nazywa... aha, Jaszewski.

A jeszcze co do plutonu. To... tak, z nimi można będzie się bić!

Wojna, z całą swą treścią jaką zamyka w tym słowie, staje się w tej chwili dla mnie czynną i zupełnie prostą. Czuję w sobie jakieś rezkowskie, fizyczne niemal napięcie nerwów. W zaciśniętej dłoni pęka nagle kawałek kory, którym bawię się bezwiednie od dłuższego czasu. Przeciągam się i wstaje z pnia.

— Popływamy? Przede mną stoi plutonowy Jaszewski. Wyszedł właśnie z wody, bo na skórze opalonej na ciemno-brązowy kolor błyszczą drobnutki, hrylantowe kropelki. Jest jeszcze trochę zdyszany i odrzuca dłonią z czoła mokre włosy.

Zrzucam szybko buty i bryczesy. giel prostuje się wolno a łódź wychodzi z wiru i bierze kierunek na naszą wysepkę. Na tle czystego, głębokiego nieba żagiel płynie jak obłok — sennie, cicho, pogodnie. Rośnie w oczach. Po chwili można już rozróżnić znaki Oficerskiego Yacht Clubu. Uznaje się na łódkach. Mężczyzna i dwie kobiety. Przycumowują lekko, z łagodnym pluskiem fali. Mężczyzna w białym, żeglarskim ubraniu majstruje coś przy żaglu. Obie kobiety wyskakują na piasek. Jedna z nich jest młodą dziewczyną i gdy stoi tak z odrzuconą lekko do tyłu głową, wpatrzona w rozległą panoramę lasu — przypomina swoim niebieskim kostiumem i dziewczęcą sylwetką reklamę kremu Nivea. Na zagórowanych połączkach znać jeszcze pod powietrzem i muśnięciem całej tej słoneczno-błękitnej przestęzi. Spoglądam na Jaszewskiego. Muszę mieć ogromnie zabawny wyraz twarzy, bo ten uśmiecha się znacząco.

— Ładna dziewczyna — mówię półgłosem.

— Ta blondynka? Może Jaszewski przespływał piasek z jednej dłoni do drugiej.

— Ale ja wolę tę starszą. Nie lubię blondynek — dodaje po chwili wyjaśniająco.

## PRZEZ PUSTYNIĘ NA NOWE M. P.

## NA JEDNYM Z PUNKTÓW PRZEJŚCIOWYCH

Rok temu zmienialiśmy również m.p. My, którzy jechaliśmy tutaj od strony północnej, pamiętamy tę podróż dobrze. Na punkcie przejściowym, na pięknej plaży nadmorskiej, obserwowaliśmy przez miesiąc przejeżdżających żołnierzy i ochotników. Wymierzowane twarze, z trudem wlokące się nogi, ślady przebytych chorób — sylwetki tylko z ubioru przypominające wojsko. Lepiej wyglądało już po kilkudniowym odpoczynku, gdy w olbrzymich samochodach jechano dalej, do obecnego miejsca postoju.

Roczny pobyt w innych warunkach, solidna praca żołnierska, ćwiczenia z najnowocześniejszym sprzętem zrobiły swoje. Gdy dziś patrzy się na przejeżdżające codziennie przez pustynię transporty, trzeba być dumnym ze wspaniałego przeobrażenia tych samych ludzi w prawdziwych żołnierzy, a całości w naprawdę wielką armię.

Codziennie we wczesnych godzinach rannych opuszcza jeden z punktów przejściowych tak zwana „czołówka transportu”. Kilka łazików, normalne ciężkie wozy i kuchnie. Po paru godzinach czołówka ta przybywa na nowy punkt przejściowy. Komendant transportu zapoznaje się tam z wytyczonym na kwadrant miejscem, z warunkami pobierania benzyny, żywności i wody, kucharze przystępują do pracy, posterunki regulacji kolejowej rozstawiają się na skrzyżowaniach szos i po kilku godzinach pokazują się właściwy transport. W równych odstępach zbliża się na biwak olbrzymi sznur samochodów, naladowanych nie tylko ludźmi, ale i sprzętem, jadą działa większe i mniejsze, carryery, łączności, saperzy i artyleria. Podjeżdżają na wyznaczone dla nich miejsca ustawiając się zwykle w kilku kolumnach w dość znacznych od siebie odległościach, bo miejsca na pustyni nie brakuje.

Pierwsze kilka godzin na nowym postoju są przykre. Pustynia bez miejsca cienia, rozpalony piasek, a

nie rzadko trąby powietrzne, bardzo ciekawe zjawisko dla oka, ale mniej przyjemne dla ptuc, zwłaszcza gdy taka fala ciepłego powietrza wali wprost na kolumnę. W tych godzinach w samochodzie jest najchłodniej. Komendanci transportu rozdzielają żywność i wodę, którą jako największy skarb magazynują się w workach, blaszankach, manierkach i nawet w starych sowieckich „kociolkach”.

Po kilku godzinach można wyjść z samochodu i rozprostować mięśnie, umyć się i urządzić sobie nocleg. Wszystko odbywa się w porządku i spokojnie. Żołnierze rozstawiają

Blaski i cienie  
pewnego sojuszu

(Dokończenie ze str. 2)

szalka Antonescu, pp. Maniu i Bratiani, dalsze następstwa uległej taktyki wobec Berlina okazały się katastrofalne.

Antonescu nie potrafił obwarować przystąpienia Rumunii do wojny z Rosją zastrzeżeniami podobnymi do tych, które poczyniła Finlandia, broniąc wobec Berlina swego niezależnego punktu widzenia. Nie wydatnił, że Rumunia walczy tylko o odzyskanie ziem, które Rosja zabrała jej w roku 1940, że dalsza walka z Sowietami jej nie obchodzi i że w żadnym wypadku nie chce być zamieszana w zatarg z mocarstwami anglo-saskimi. Za swą uległą politykę rząd Antonescu zapłacił nadmiernym skrwawieniem armii rumuńskiej pchniętej aż na Kaukaz i pod Stalingrad oraz niepotrzebnym narażeniem się Anglo-Sasom.

Dziś politycy rumuńscy stają przed tragicznym pytaniem, jak wypłacić Rumunię z dalszej wojny, jak skierować ją na szlaki przyjaźni z tradycyjnymi sojusznikami i jak uchronić ją od następstw grożącej jej klęski i zagłady.

Arp

## OSTATNI SIERPIEŃ

(Dokończenie ze str. 3)

Sosny uciekają do tyłu. Jaskółski milczy. Przez sprzysyby przesypuje się złoty piasek. Pachnie żywica.

Wczoraj dostałem od niej list. W kopercie było małe amatorkie zdjęcie. Wygląda na nim jeszcze bardzo dziecinnie w prostej, letniej sukience na tle jakiegoś lasu czy ogrodu. A teraz widzę ją znów w niebieskim kostiumie, z odrzuconą lekko do tyłu głową. Wokół lasy, lasy i jezioro i słońce i złoty, ciepły piasek. Uśmiecha się i nagle zastania mi ją biały obłok... nie, to za giel, smukły, napięty wiatrem żagiel...

Zywica pachnie mocno, oszalałamić — jak narkotyki

Wyjeżdżamy z lasu. Droga twardej, prostej się i biegnie szarą smugą do widocznej już wyraźnie wioski. Z północy, gdzieś od granicy uderza nagle podmuch wiatru. Z nad lasów idą skłębiona, miedziana fioletowa ława niskie chmury. Krótkie, częste odłaski błyskawic na pęczniającą powłokę chmur. Od czasu do czasu słychać daleki jeszcze pomruk gromu.

— Będzie burza — mówi Jaskółski  
W oddali przetacza się głucho grom i dzieli niebo niewidzialnym wykresem wibrujących drgań.

— Przejdzie bokiem — mówię wolno chcąc złagodzić jakiś nagły niepokój.  
Jaskółski patrzy przez chwilę na północ, uważnie, ze ściągniętymi brwiami.

— Ej nie, panie podchorąży, nie przejdzie bokiem. Idzie prosto na nas...

Janusz Wedow

łózka lub rozkładają koce koło swych samochodów, nikt nikogo nie szuka, nikt się nie gubi, nikt nie usiłuje wydostać się po za strefę niedozwoloną. Wstęp do malutkich miasteczek arabskich, położonych koło biwaku, jest niedozwolony, ale nasze władze bezpieczeństwa mają mało kłopotu, bo gorączka biegania po sklepach (których zresztą nie ma) i szukania wrażeń w obym środowisku dawno już minęła. Wieczorem przychodzi oczekiwany chłód i bardzo wczesnie cisza zalega na biwaku. Następnego dnia rano, skoro świt, kolumna wozów rusza dalej.

I tak trwa to pięć dni.

A tymczasem tymi samymi szlakami wracają puste samochody, które po wyładowaniu żołnierzy na nowym m.p. jadą po tych, którzy z niecierpliwością czekają na swoją kolejną wyjazd.

Trudów podróży nie mogą tym razem wynagrodzić piękne widoki natury. Zamiast, jak przed rokiem, wspaniałych serpentyn górskich i otwierających się przed nami co chwila olbrzymich przepaści — gola pustynia, na której od czasu do czasu pojawiają się ślady nędznych lepianek i pasące się wielbłądy. Nie sądzę jednak, by podróżujący nudzili się. Wieczorem przed rozpoczęciem pierwszego etapu podróży wysłuchują nadawanych specjalnie dla nich przez rozstawione na cały obóz głośniki ostatnich wiadomości wojennych i pogadanek politycznych, przeplatanych muzyką z płyt, a później oglądają film.

Po dwu dniach rozłąki z gazetami i radiem (nie zawsze, bo wiele transportów wozów z sobą aparaty radiowe) specjalna obsługa Wydziału Propa-

gandy i Oświaty zaznajamia ich z zaszłymi w ciągu tych dwu dni zmianami w „polityce” i na froncie. Popularny wśród żołnierzy biuletyn „Ku Wolnej Polsce” ma tutaj swego młodszego bratczka w formie wydania specjalnego, tłoczonego na pustyni w kilku egzemplarzach i rozwieszanego w możliwych widocznych miejscach.

Na następnym punkcie przejściowym, w kilka godzin po przekroczeniu granicy kraju, z którego gościny korzystaliśmy przez rok, czeka żołnierzy nowa niespodzianka. Rozbił tu namioty Teatr Polowy APW. Bez sceny i bez światła. Na wąską burtę samochodu, który ich tu przywiózł, wychodzi codziennie Krukowski i zapowiada na pożegnanie z dawnym m. p. — „Koncert życzeń”. Później na tak zaimprowizowanej scenie, którą jeśli transport przyjedzie późno i zmierzch zapada trzeba oświetlać reflektorami z ustawionego naprzeciwko łazika, zjawiają się kolejno Ignatowicz, Krukowska, Aston i Józku Bielawski śpiewając i recytując to, czego tylko żołnierz zapragnie. W przeciągu godziny rozbrzmiewają więc na życzenie widzów na pustyni dźwięki popularnych piosenek o Krakowie, Warszawie, Lwowie, Wilnie i Polesiu, „Koraliczki”, „Młodym być” itd.

To nic, że często piasek wciska się śpiewakom głęboko w gardło, że przez cały dzień od jednego przedstawienia do drugiego walczą z upałem i muchami. Teraz dopiero ten teatr jest w stu procentach polowy. I dlatego też brawa, które odbierają codziennie są najbardziej zasłużoną pochwałą.

R. Mossin

## W SALAHADIN



Regent, Król Faisal oraz Polka, małżonka dr Makowskiego przed letnią rezydencją króla Iraku. W głębi pani Sinderon żona znanego chirurga brytyjskiego i guwernantka króla.

## SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

KAŻDY Z NAS MUSI DOŁOŻYĆ WSZELKICH STARAN AZEBY — W GŁĘBOKIM POCCZUCIU NASZEJ WSPOLNOTY — NASTAWIC NA JEDEN TON ZAROWNO BICIE NASZYCH SERC, JAK I DZIAŁALNOSC NASZEGO ROZUMU.

GEN. WŁADYSŁAW ANDERS

Kujbyszew, 1. I. 1942 r.

## Składki

NA JENCÓW

kpr. Tarłowski Bronisław 3 D. I.  
N A. plut. hig. pol. 10 D. I.  
N komp. sam. san. 30 D. I.

NA SIERTY

kpr. Tarłowski Bronisław 1 D. I.  
N A. plut. hig. pol. 6 D. I.  
N baon łączności 50.525 D. I.

## ZAKAZANY TEMAT



...Albo to... Niech pan posłucha, doktorze.

Zbyszek trzepnął wychudłą bladą dłonią w rozwijającą się płachtę gazety. Głosem matowym od tłumionej emocji przeczytał:

„Ten, który ongi wodę w wino zmienił. Wolny w swej fasce, w cudach niezawisły, Mógłby mi zmienić tej jeszcze jesienni Gorzką toń morza w słodką wodę Wisły...”

Oczy za poza ciemnych szkieł wstrzeliły dwoma pytańnikami w stronę doktora Tarskiego.

— Bardzo piękne... kto to napisał?... Doktor wysączył resztki napoju z wysokiej szklanki i w zamyśleniu wprawił w ruch wirowy dzwiczęcace kryształki lodu na dnie.

— Piękne... piękne... Wściec się można. Zbyszek rzucił gazetę na stolik i wsparł dłoń na kolanach.

— Was by tylko pięknymi słówkami karmić... Jak dzieci karmelkami. Niekiedy zdajemy nawet sobie sprawę z tego, że te słodczyce psują nam żołądek i zęby, ale... to tak trudno dziecku zrezygnować z karmelków...

W głosie Zbyszka zgrzytały chwilami historyczne nutki, za ciemnymi szkłami drgały zaczepne iskiarki gniewu.

— Piękne. Wzruszające. No to i co?... Ale niepotrzebne. Szkodziwie. Bo słabeuszowski, mazgajskie...

— Otóż to... — rzucił się Zbyszek. — Prosimy, zamiast... eh, co tam... Szkoła słów... Esmah — zawołał w stronę usługującego Araba — Two dooble whiskey.

Doktor Tarski postawił szklankę i łagodnym ojcowiskim ruchem ujął dłoń Zbyszka.

— Panie poruczniku... panie Zbyszku, jeśli mi tak wolno mówić jako starszemu koledze i lekarzowi... To co pan robi jest też objawem słabości... Zalewacie robaka, co?... Kto panu w ogóle pozwolił pić?... Dopiero pan wyłaził ze szpitala, siedzi pan tu żeby poprawić swój przepodły stan fizyczny i nerwowy...

— O co chodzi? Od Kozielska przybyło mi 6 kilo. Robię co mogę. — Wie pan co pan robi? — Na złość mamie odmraża pan sobie uszy, jak ten sztubak z anegdoty... Jako pański lekarz obserwuję pana uważnie i widzę ile pasji, ile nerwów wkłada pan w te nieprzerwane rozmowy o Polsce i Polakach... Pan się mimo woli podnieca, denerwuje, a to panu szkodzi... Wyrażnie szkodzi.

— Więc doktor chce żebym? ..

— Chcę żeby pan chwilowo... Bo rozumien, że te tematy jednakowo nas wszystkich obchodzą... ale chwilowo, jeszcze przez parę tygodni powiedzmy chcę, żeby pan unikał rozmów o Polsce.

— Masz ci los. Dla zdrowia. — Tak jest, dla zdrowia. Bo proszę pamiętać, że pańskie zdrowie będzie tam jeszcze w kraju potrzebne... prawda?

Zbyszek zamyślił się przez chwilę. Przed nim na złoto czerwonym tle zachodu ostro rysowały się sylwetki wysmukłych palm, lekko pochyło, nych pod jednakowym kątem.

Z dalekiej pustyni, wraz z grzędami tęczowych chmurkach nadciągał już raźny powiew wieczoru. Z wnętrza hotelu grupki turystów i wojskowych wysypywały się na taras, aby na powietrzu wypić przedobnieci drink. Uczyniło się gwarno i beztrosko.

Zbyszek uśmiechnął się do jakichś swoich myśli, potem spojrzał na doktora Tarskiego i prawie wesoło odpowiedział:

— Może i prawda... Więc przez pewien czas nie wspominamy w ogóle o Polsce — nawet mimochodem. Tylko co prawda, łatwiej to panu zaordynować, niż mnie wykonać, doktorze.

— O, na to wymyśliłem sposób: kto z nas pierwszy poruszy zakazany temat, płaci karę.

— Kolejkę whisky i soda. Brawo. — Whisky nie whisky, ale... jakąś konsumpcję w cenie 10 piastrow od osoby. A propos: ale to zdzierstwo — za odrobinkę kiepskiej whisky brać 10 piastrow. Pamiętam w Warszawie w „Adrii” za 4 złote dostawało się...

— Doktorze. Stop... Właściwie powinien pan już zapłacić kolejkę; ale... pierwsze koty za płoty.

— Słusznie. Nie zorientowałem się. Przepraszam — speszzył się Tarski.

Zbyszek z uśmiechem przyglądał się różnoplemiennej publiczności. Anglicy, Amerykanie, Hindusi, Szkoci, Australijczycy. A na tym umundurowanym tle czerwone fezy miejscowych notabli, wytworne futra i brylanty ich żon i nie-żon. Beztroskie rakietki śmiechu strzelały raz po raz od każdego stolika...

— Wie pan, doktorze — patrząc na to towarzystwo, nieraz sobie myślę jak niewiele potrzeba tym ludziom, żeby dobrze się bawić, dobrze się czuć...

— Ba. To jest wielka sztuka życia. My tego nie potrafimy... my w ogóle nie umiemy się bawić.

— Przepraszam, kto to jest my?...

— No my — Polacy.

— Stop. Tym razem doktor płaci 20 piastrow do kasy. Nie, na razie nie potrzeba gotówki. Zanotujemy jedną kreskę na pański rachunek.

— Niech i tak będzie. Zmieniamy temat...

Doktor zapalił papierosa, wygodnie rozparł się w trzcinowym hotelu i potoczył wzrokiem po feerycznym pejzażu, po barwnych grupach u tarasie...

— Przyzna pan, panie Zbyszku, że jeszcze niespełna rok temu nie śniło nam się, że w wytwornym hotelu, gdzieś nad deltą Nilu, będziemy pijać whisky-soda... I cała ta fantastyczna podróż... Teheran, Bagdad, Jerozłima, Kair, Aleksandria... Najstarszym ludziom w najśmielszych snach nie śniły się takie możliwości. Czy pan uświadamia sobie ten skok od Kozielska do Buzułuku?... Co tu gadać — wygraliśmy wielki los na loterii... Czy pan tego nie odczuwa?

— Czy ja wiem?... To takie dziwne... Pan może nie uwierzy... nie powiem, że w Kozielsku... i jeszcze nie w Buzułuku ale powiedzmy w Jangi-Jul, Dżafal Abadzie... czułem się lepiej.

— Nie rozumiem... Pan chyba żartuje?

— Nie, nie żartuję. I to takie proste. Zło się jeszcze radością powrotu do swoich, podziwem dla cudu, który się dokonał tak niespodzianie.

Wszystko było dobre, tak nieskończenie lepsze od tego, co było przed tym... I była sprawa, w którą wkładało się tyle dobrej woli i zapалу... I była wspólnota entuzjazmu... Cieszyła każda nowa zdobycz, każde drobne nawet ulepszenie w warunkach bytowania... Jeszcze jeden barak, jeszcze jeden dezynfektor, jeszcze jedno danie w kotle żołnierskim...

I co najważniejsze: na tle tamtejszych warunków byliśmy tak czy owak klasą uprzywilejowaną. No tak. Przyznajmy otwarcie: każdy Uzbek, Kazach, czy Turkmen mógł nam raczej zazdrościć. Czemu? Bodaj tych mocznych butów angielskich, ciepłego płaszczka, bielizny, paru puszek konserw, zapewnionego wikt... Nie wiem jak pan, ale ja chwilami czułem się Krezusom... I to właśnie dawało nam podświadomą pewność siebie, dawało zadowolenie, oczywiście relatywne. A potem już...

Nubijczyk w białym kittu postawił na stole zamówione drinki. Zbyszek sięgnął nieśmiało po szklankę... Doktor pozwolił mu pociągnąć jeden łyk, poczem z uśmiechem odstawił szklankę.

— Z dwojga złego wolę już żeby pan gadał, chociaż i to... Więc co się stało potem? ..

— Wszystko się jakoś rozkleiło. Tu i ówdzie rozpruły się szwy... Gromada ludzi zżytych z sobą, rozproszyła się. Zaczęły się etykietki i szuladki... ale to znów inny temat. Mówimy o moim samopoczuciu. Teraz czuję się gorzej, znacznie gorzej mam nastrój.

— To zupełnie normalne. Dopiero miesiąc temu uciekł pan grabiarzowi z pod łopaty...

— Ach! nie w tym rzecz. Czuję się gorzej, bo pożera mnie zazdrość. Tak — zazdrość... Nie jestem już jednostką uprzywilejowaną, nawet relatywnie. Jestem w kraju, w którym życie płynie zupełnie normalnie. Jest bezpieczeństwo, jest dobrobyt... Ba, jest luksus. Prosperity. Ludzie żyją beztrosko, mają swoje ogniska domowe, rodziny, stosunki towarzyskie, swoje zainteresowania, swoje drobne smutki i drobne radości... A na tym tle — ja i garstka takich jak ja bezdomnych wędrowców... tułaczy. Niech pan popatry na tych tułaczów... Przyszli tu dla odmiany,

bo im się sprzykrzyły wygodne home'y, codzienny nastrój domowego ogniska. A ja... przymusowy globetrotter — oddałbym wszystkie najbardziej luksusowe hotele i karawanseraje świata za moje dwupokojowe mieszkanie na Hożej w Warszawie...

— Stop. Bo zapiszę panu karną kreskę.

— Zresztą... nie o tym chciałem mówić. Widzi pan tych wszystkich wojskowych? Powie pan, że i oni oderwani są od swoich rodzin i ognisk domowych?... A to nie prawda. Nie ma dnia, nie ma tygodnia żeby nie wymienili listu, depeszy ze swoimi. Wyjechali chwilowo, wyjechali na wyprawę wojenną. Wiedzą, że w domu jest wszystko o key... Mały Freddy zabkuje, Polly pracuje w Czerwonym Krzyżu, a ciocia Patrycja leczy swój reumatyzm w Salt Lake City... A po wojnie wraca do swoich home'ów, mannor'ów, farm i bungalów jak nigdy nic. Wraca na gotowe, na pewne; na niezmiennione... a my? Nie wiem: może jestem oddawna wdowcem? Może sierotą?... może z moich najbliższych nie ma już nikogo w Warszawie. I co zastaną w Kraju po szczęśliwym zakończeniu wojny? Nic nie wiem, wiem tylko, że dziś mi już nikt niczego nie zazdrości. That is all.

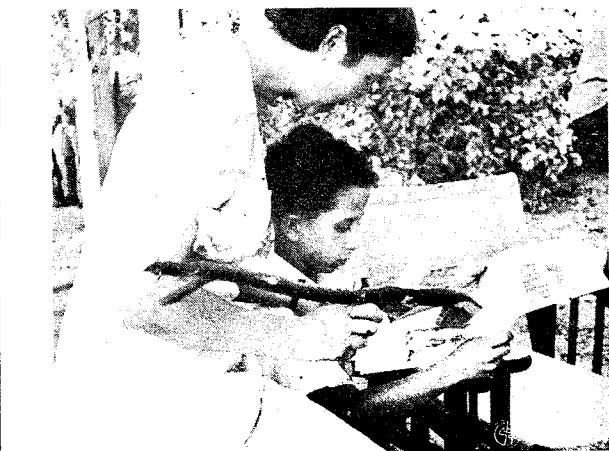
Doktor w milczeniu podsunął mu szklankę i swoją wypił do dna.

— Powinienem panu zapisać co najmniej dwie kreski, ale... wie pan... to naprawdę trudno nie mówić o tym, co boli i gnębi. Dla odmiany proponuję teraz pół godzinki milczenia. Zachęcamy się naturą, pogodą, a potem pójdziemy na obiad. Zgoda?

Zbyszek w milczeniu skinał głową i zatopił się w myślach. Taras powoli opustoszał. Na niebie koloru ziemniaczej masy perłowej wtoczył się wąski sierp srebrnego księżycza. Od czarnych gajów palmowych wietrzyk donosił monotonny śpiew wracających z pola fellahów. Doktor cnił papierosa za papierosem. W zapadającym zmroku płomień zapalki oświetlił na chwilę jego twarz, poronając brzoźdami. Doktor uśmiechnął się.

— Wie pan, panie Zbyszku... Gdybyśmy tak zechcieli pisać karne kreski za nasze myśli... sądzę, że nie starczyłoby nam pieniędzy. Ale Zbyszek nie odpowiedział. Myślami był zbyt daleko...

Konrad Tom



Guwernantka króla Faisala pomaga małemu monarsze przy lekturze „Orla Białego”

# ŚWIATŁA NA PUSTYNI

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Było to w Ługowoj. Szliśmy do teatru po rozciągniętej glinie. Pierwszy raz, po dwóch latach intensywnej oglądającej odłuszczonej kuraacji. W ponurej budzie stanęliśmy głowa przy głowie. Ówczesny dowódca pułku kazał mi przywitać teatr słowami „10 PAL wita swój teatr! Człemu teatrowi potowemu!” Stałem więc w pierwszym rzędzie, z ostrzyżoną głową i płonącą twarzą. Przed sceną zapalono naftowelampki. Zapanaowała cisza. Scena nie miała kurtyny. Aktorzy wyszli zza jakiegoś przepierzenia: kobieta, jakiś młody chłopiec, znówu kobieta, jeszcze ktoś — wyszli, stanęli rzędem. Mieli wzurowane twarze. W idealnej ciszy padły słowa powitania. Oni uśmiechnęli się, bezradnie szukając miejsca dla roztrzęsionych rąk. Po długiej chwili jasnowłosa pani coś tam bardzo cicho i niewyraźnie odpowiedziała. Dziesiąty PAL usiadł.

Ludzie, którzy mówią o sobie „z Rosji”, długo nie zapomną dni pełnych najgłośniejszych nadziei i radości. W te dni, gdy śpiewając Bogdańskiej nie wszyscy mogli dożyć z powodu tak zwanej „kurzej ślepoty” — teatr był dla nas czymś niezwykłym, ogromnie bliskim i wzruszającym. Tam to właśnie, w biednej ługowskiej chalupie, dzisiejszy zespół Refrena pierwszy raz zapiewał „Orły do lotu”. Tam Borucki wycisnął łzy z niejednych oczu recytacją wiersza Budzyńskiego „Lotnik”. Tam Jakubówna wskrzesiła w pamięci dziesiątej dywizji obrazy kujawia ków, krakowiaków, oberków. Tam Oleńska i Ruszała i Szajowicz — już nie pamiętam kto jeszcze, starali się, abymy razem z nimi zapamiętali o minionych latach grozy.

Na obrzychnych polacich irackiej pustyni migocą światłkami polskie namioty. Saperzy kończą budować scenę. Szczęśliwie nasze kroki. Spadają z nieba gwiazdy. Na ramionach

brezentowe worki z wodą. Minął jeszcze jeden dzień. Radio przyniosło wiadomości o nowych zwycięstwach. Twarze są zmęczone, ale spokojne i pogodne. Niejeden z idących na przedstawienie wspomina, jak to było kiedyś w Tokcu, Tatiszczewie, Ługowoj, Jangi-Julu. Aktorzy wychodzili w „tielogrejkach”. Prażył mroz. Na widowni w pierwszym rzędzie siedział człowiek z NKWD.

Wystarczy dotknąć tylko tych wspomnień, natychmiast opadają rojami i świeca, krzyczą swoją niezniszczalnością, krzyczą nazwami podbiegunowych osiedli, twarzami umarłych przyjaciół, melo iami pierwszych po latach bez bojaźni słuchanych w dywizyjnym teatrze piosenek.

Przez megafony płynie zapowiedź. Mówi Refren. Ze zdziwieniem sportrzegam, że zamiast dotychczasowych dystynkcji starszego strzelca ma jakiś czerwone paski. (Po przedstawieniu dowiedziałem się, że ten reżyser, aktor, autor i kompozytor został „P. R. O.” czyli oficerem kulturalno-oświatowym, coś takiego...)

Orkiestrą dyryguje Potok. Muzyka unieruchamia twarz, przykuwa do sceny oczy. Potok niewątpliwie jest utalentowanym dyrygentem. Po pierwszych minutach przedstawienia pomyślałem sobie: można byłoby nie patrzeć na scenę, wystarczyłoby patrzeć na widownię i można byłoby odtworzyć w wyobraźni, co się dzieje na scenie.

Kiedy w Rosji, jak mówi Broniewski: „Bieda była, oj bieda, trzeba było się nie dać” — teatr siedzi z nami Dziś, gdy czynimy ostatnie przygotowania do walki, teatr jest z nami. W najgorętszych słowach należy podnieść fakt, że teatry nasze są prawdziwie żołnierskie. Stanowią ten sam gatunek ludzki i polski co każdy działający zespół celowniczy. Nie ma w Armii Polskiej na Wschodzie panów i pań odwie-

dzających przedstawnieniami wojsko na pustyni co pewien czas. Są artyści żołnierze i widzowie — żołnierze. Jest to oczywista i radością napelniająca prawda.

Ale... na scenie skończyła się właśnie rumba. Po chwili mazurek: Niewiadomska i Olszyński. Tańczą swobodnie. Są młodzi i urodziwi. Każdy ruch jest wykończony i pełen naturalnego wdzięku. Zjawia się Oleńska, czyli ohochniczka Helena. Mnie obojętnie ten rodzaj sztuki scenicznej nie odpowiada, ale nie przeszkadza to absolutnie abystwierdzić, że Oleńska jest doskonałą aktorką charakterystyczną. Ale oto i Bogdańska. Znam ją ze sceny już dwa lata. Zauważyłem, że specjalizuje się w śpiewaniu piosenek o szeregowych, kanonierach, strzelcach i ulanach. W Rosji — pamiętam — a potem w Iranie, na piasku w Palestynie, śpiewała o strzelcu Stachu. Takie zamiłowanie widoczne. Niekszaiteina dykcja, inteligentnie brany tekst i prawdziwie miły głos sprawiają, że po piosence ludzie walają jak w kuzni. Bogdańska śpiewa następną piosenkę.

Zapowiedź wprowadza na scenę krowę: dzieło malarza (patiz wspaniałe dekoracje do „Dam i huzarów”) Wiecheckiego. Wbiegają Jakubówna i Szajowicz. Numer nazywa się „Wesoła krowa”. Przysnam się, że nazwa nie była zachwycona, to nie jest szczęśliwy tytuł. Ale Jakubówna jest dołą tancerką. Szajowicz jej godnym partnerem.

Przed mikrofonem staje Borucki. Słuchamy piosenki o dziewczynie i lesie, o strachu co miał jasne oczy. Bardzo dobrze zrobiony był ten strach, panie Gwidonie.

Ruszała, Ende, Fabian przypominają w przyjemnym obrazku (jest rok 1960) czasy dawnego m. p. Po maga im orkiestra W ogóle orkiestra jest dobrym duchem całego programu, jest smaczną oprawą każdego numeru.

Przewijają się ludzie, tańce, obrazy. Śpiewa Pręgowski. Otrzymuje brawa tak huraganowe, że konferansjer zupełnie nie może dać sobie z widownią rady. Pręgowski (jakkę wspaniale śpiewa jeszcze raz, po czym Lawiński dowcipnie rozmawia przez telefon z... Hitlerem Piosenka „Pięciu chłopców z Albatrosa” (Bogdańska, Ruszała, Ende, Borucki, Siegel) przyprowadza widzów o szczerym smutku. Zawsze dowcipny i „na miejscu” Refren zapowiada coraz to coś innego. Co druga piosenka, co trzeci skecz są jego.

Płoną sceniczne światła. Jest finał. Teatr Muzyczny A P W śpiewa o wiosennym powrocie do domu Melodia Schützta płynie ku dalekiemu horyzontowi: na północ. Melodia jak kupaś wskazuje kierunek powrotu. Tysiące ludzi trwają w bezruchu: dziś było ostre strzelanie. Jutro, niedługo, będzie strzelanie ostateczne. Melodia mówi prawdę.

Rozchodzimy się powoli Coraz to skądś dolatują głosy: — Ale zrobili przedstawienie... Co?...

Aktorzy odjeżdżają do swoich namiotów. Przez chwilę jeszcze płoną na pustyni światła. Idę wśród księżycowej nocy i myślę, że podczas przedstawienia nie padło ani jedno przedstawienie słowo pod adresem ludzi na scenie. Teatr otrzymuje słowa najwyższego uznania. Mówi mi Lawiński o takich niezwykle serdecznych listach z dywizji i od jakichś zagubionych w pustyni Anglików, którzy na przedstawienie tra-

Do wszystkich naszych Korrespondentów. Doszły nas głosy, jakoby odpowiedzi redakcji autorom, których utwory nie są zamieszczone, były zbyt oschle czy zgłoła mało uprzejme. Zmartwiły nas te opinie, bo przecież nie chcieliśmy komukolwiek robić przykrości. Często musimy odrzucać utwory, w które czujemy, jak wiele serca autor włożył. Gdy jednak napiszemy np. „intencja szlachetna, ale forma uniemożliwia druk” — niektórzy dopatrują się w tym ironii, gdy zaś odpowiemy po prostu „nie skorzystamy” — powiadają, że odrzucamy suchością odpowiedzi. Konkursu na najlepszą formułę odmownej odpowiedzi nie ogłaszamy, ale za dobre pomysły w tym zakresie będziemy wdzięczni. Na razie zaś prosimy o zrozumienie, że odrzucanie części nadsyłanych nam utworów jest czynnością bolesną, ale niestety, konieczną.

Pchor. Luc. M. Dziękujemy za list i artykuł. Wydaje nam się, że skasowanie przeglądów tygodniowych nie byłoby przez ogół czytelników przyjęte z radością. Wielu mówiło nam, że zaczynają czytać „Orla” od przeglądu i bardzo ich ta rubryka interesuje. Oczywiście rolą przeglądu nigdy nie było i nie jest powtarzanie informacji, ale ich wiązanie, uzupełnianie i komentowanie. Brak humoru odczuwamy również, ale tego towaru nie możemy otrzymywać w dowolnych ilościach i dobrym gatunku. Możliwość zamieszczania przedruków literatury, a także wprowadzenie działu rozrywek umysłowych uzależniamy od technicznej możliwości rozszerzenia treści „Orla”. Na twórczość żołnierską mamy uwagę stałą „zwroconą”, ale nie możemy w interesie czytelników, a sądzimy, że i piszących, obniżać wymagań.

Artykuł Pana artykuły spóźniony. Jakże można artykuły okolicznościowy na 15 sierpnia wysyłać 9 sierpnia! Przecież musimy opracować treść numerów z wczasu, a i druk kilku dni wymaga. Co do treści — sądzimy, że zyskały na skreśleniu zbyt oczywistych, banalnych stwierdzeń.

Strzel. Adam B.-ki. Dziękujemy, poprawki wstawimy według Pańskich życzeń.

Henryk Pr. Dziękujemy za wiersz, z którego jednak nie skorzystamy.

Witold Sz. Dziękujemy za wiersz, na pewno nie pozbawiony wartości, który jednak nie w całości nam odpowiada. Na razie zatrzymujemy i prosimy nadal o pamięć.

Judy m. Dziękujemy za nowe wiersze. Ciekawe — jak zawsze, ale tego „Fragmentu mistycznego” nie jesteśmy pewni. Natomiast „Wrzesień” wydrukujemy.

Stanisław C.-ski. Dziękujemy za uwagi geograficzne. Zapewne zamieścimy, ale będziemy musieli nieco skrócić.

fili przypadkiem i nie rozumiejąc języka ogromnie przejęli się polskimi tańcami i piosenkami.

W gorącej noc, cichną po namiotach rozmowy. Myślę — co ta wojna wyprawia. Jeżdżą te teatry z wojskiem, idą jak mówi moja dawna bateryjna piosenka „przez góry, łądy, morza” — razem z nami. Do tego właściwie streszcza się największe znaczenie teatru żołnierskiego: zrazem.

Jerzy Bazarewski

## WIERSZ O KRWI

Czerwona, purpurowa, fioletowa, czarna,  
Różna jak różni ludzie, jak oni jednaka,  
Latała się miesiącami nad Ypres i nad Marną.  
Mówili o tym w szkole i nikt nie zaplakał.

Znaczyła drogi pieśni i szlaki cierpienia,  
Była w liściach i w kwiatkach, w rozpęczniałym chlebie.  
Mieszkała w wybujałej zieleności ziemi  
I plakała w pożarach zachodów na niebie.

Skalała raz dziewczyny nieruchome dłonie  
Z czynim słowem rozdarty, w rozpaczy, w udręce,  
A ona później długo patrzyła zdumiona  
Na swe wiotkie, bezbronne, śnieżno-białe ręce.

Lecz wciąż płynęła w żyłach żywego człowieka  
Jednym rytmem miarowym, rozsądnym, poważnym.  
Rozumiała się życiem, wzbierała jak rzeka,  
Zyla w pędzie Farysa i w romieńcach twarzy.

Nadawała takt słowom, byłaś tętnem czasu,  
Głębokimi nocami szłaś przez wstęgi szosy.  
Nie byłaś śniercią wtedy, ale bytu cząstką  
I włączała swe imię w rozpiewane głosy.

Dziś znówu — purpurową, jak ogień płonącą,  
Różna jak różni ludzie, jak oni jednaka,  
Widzę Ciebie, jak kropla po kropli się sączyz  
Na deski zarzuconych na północ baraków.

Broczą tołą żołnierze na bitewnych polach,  
Dłpece cię but jak godność, jak godność cię wznoszą  
Ktoś u kresu cierpienia w Warszawie cię wola,  
Splywasz ulicą ghetta wśród ryszotków nęcą.

Wiem, że będziesz się jeszcze w ogniu walki wylewać,  
Zaznaczysz cały przernasz — do końca — od Września,  
Lecz że znówu powródzisz do arterii śpiewnej  
Ziemni w wolność brzemiennej, skazanej na pieśni.

Artur Międzyrzecki

# TYGODNIOWY PRZEGLĄD WYDARZEŃ

KONFERENCJA W QUEBEC trwa jeszcze, gdy piszemy te słowa. Nie znamy zatem wciąż jej wyników, które zresztą zapewne ujawnione będą tylko w drobnej części. Wydaje się jednak, że narada w Quebec na-leżeć będzie do najważniejszych w tej wojnie. Rozpatrywane tam zagadnienia objęły nie tylko najlepsze sposoby wykorzystania zdobycy Sycylii i zastanowienia się nad następstwami pierwszej letniej ofensywy sowieckiej, ale dalsze prowadzenie wojny i sposób jej zakończenia. Doniesienia z Kanady stwierdziły tym razem już wyraźnie, że rozmowy dotyczyły również spraw politycznych i to tak zasadniczej wagi, jak sprzecyzowanie Karty Atlantyckiej, powojenne stosunki brytyjsko-amerykańsko-sowieckie oraz ustalenie stanowiska aliantów wobec tych państw „osi”, które zechcą wycofać się z wojny.

Jeżeli na zjeździe w Casablanca omawiano głównie posunięcia strategiczne na lokalnym, śródziemnomorskim teatrze wojny, w Quebec rozpatrywano zagadnienia wojny jako całości.

UDERZENIE NA WŁOCHY wydaje się pierwszym nieuniknionym następstwem sycylijskiego zwycięstwa. O postanowieniu tym świadczy zarówno rozległe działania powietrzne aliantów nad południową Italią, działania będące zapowiedzią dalszej ofensywy, jak i oświadczenie zaskępy gen. Eisenhowera — gen. Alexandra, który wręcz przewiduje zajęcie południowych Włoch i wycofanie się Niemców do północnej części tego kraju. Co prawda Włochy ze względu na barierę Alp nie stanowią najlepszej drogi do Niemiec, ale jak zaznaczył gen. Alexander, posiadanie ich południowej części pozwoli sojusznikom „połączyć się z Bałkanami i nawiązać łączność z południową Francją”. Gen. Alexander zarysował zatem zbliżający się termin kampanii bałkańskiej, nas Polaków szczególnie obchodzącej.

General jest zdania, że „Niemcy sami nie mogą obronić brzegów łąd włoskiego”. Zadanie to musi być wykonane przez Włochy. Jeżeli Włosi zawiadą, Niemcom pozostanie wycofanie się na północ od Apenin. Istotnie już dziś gromadzą oni znaczne siły w północnych Włoszech, organizują tam linie obronne i zapowiadają, że „będą bronili Italii”. Prawdopodobnie walki na południu będą miały głównie na celu uzyskanie na czasie. Stąd jednak znaczenie pomocy, jaką Włosi udzielią jeszcze Niemcom.

RZĄD WŁOSKI OSWIADCZA NADAL, że będzie walczył dalej, choć ogłoszenie Rzymu miastem otwartym i rozbrojonym uniemożliwia w praktyce skuteczną obronę Neapolu i stanowi zapowiedź oddania stolicy w ręce aliantów.

Marszałek Badoglio po miesiącu rządów sprawia coraz bardziej wrażenie nadybrzańskiego Ha nleta. Jego dwustronna gra: wobec Niemców, od których chciałby wydulić zwrot dywizji włoskich stacjonujących na Bałkanach i we Francji, jak i wobec aliantów, od których chciałby uzyskać „neutralizację” Włoch pod pozorem, że tylko jego rząd stanowi zapórę przed komunizmem, daje jak dotychczas wyniki dość żałosne. Mianowicie większe jeszcze uzależnienie Włoch od Niemiec niż to było za czasów faszystów, który w tym zestawieniu gotów zacząć uchodzić za kierunek niezwykłej samodzielny, a z drugiej strony wzrastająca nieuf-

ność sprzymierzonych. Alianci wielokrotnie podkreślali, że są jak najdalej od zamiaru wzięcia anarchii na zdobywanych terenach — czego dowodem jest polityka okupacyjna na Sycylii — lecz jedynym sposobem zabezpieczenia się przed rewoltami we Włoszech powinno być wycofanie się ich z wojny. O tym wszakże może decydować tylko rząd włoski. Okazuje się jednak, że warstwy dworskie, na których głównie opiera się Badoglio, wykazują dziś podobne niezdecydowanie, jak w okresie kryzysu włoskiego w 1922 r. z czego wówczas skorzystał Mussolini, a dziś mogą skorzystać żywiły komunizyczne.

Z QUEBEC nadeszły wiadomości, że strategia aliantów uderzenia tylko w jednym punkcie ma się ku końcowi. W niedalekiej przyszłości — jeszcze przed poddaniem głównej części Włoch — należy oczekiwać wielkich uderzeń na Europę od zachodu. Jakże będą owe natarcia? Czy oznaczać będą jedynie wzmocnienie walki lotniczej, która już dziś osiągnęła znaczne nasilenie? Czy też dojdzie do nowych desantów? A wówczas, czy skierują się one na Francję, czy też na Norwegię, by stamtąd najkrótszą drogą uderzyć w serce Rzeszy, tego oczywiście nikt nie wie prócz wtajemniczonych. Wydaje się jednak, że zbliża się chwila, w której Wielka Brytania zacznie odgrywać większą rolę, jako główna baza wypadowa aliantów.

Sprawa ta łączy się jednak z zagadnieniem drugiego frontu. Agencja Reutersa w korespondencji z Moskwy donosiła, że „nigdy jeszcze” nie domagano się tam tak natarczywie otwarcia w Europie zachodniej frontu, któryby odciągnął 50-60 dywizji niemieckich z Rosji. Konferencja w Quebec wywołała już ponoć pewne rozczarowanie w Moskwie, gdzie panuje przekonanie, że „Waszyngton i Londyn skłaniają się ku strategii mniejszego ryzyka, choćby za cenę przedłużania wojny”. Powinujące się apele Moskwy o otwarcie „drugiego frontu” mogłyby potwierdzić tezy propagandy niemieckiej, że obecna ofensywa sowiecka przeprowadzana jest kosztem ofiar, które odbierają wartość jej osiągnięciom, gdyby postulat „drugiego frontu”, tak jak go sobie wyobrażają w Rosji, nie wyrażał stałej tendencji jej polityki wojennej, zmierzającej do takiego wygrania wojny, by pozostać samej na placu europejskim.

Zadania „drugiego frontu” nie świadczą zatem o słabości Rosji. Przeciwnie twierdzenia Niemców, którzy ogarnięci nową falą optymizmu buńczacnie zapewniali, że czekają tylko na wczepienie Rosjan, by przejść do kontrofensywy, nastrajają bardzo nieufnie. Zdaniem Berlina, obie strony walczą przede wszystkim z czasem, by osiągnąć, względnie nie dopuścić do konkretnych wyników przed porą zimową. W mniemaniu Niemców Rosja nie powinna przetrzymać zimy, lecz podobną opinię wyraża Moskwa o Rzeszy. Sowieciom istotnie nie udało się, jak dotąd, rozbić wijk niemieckich; doniesienia moskiewskie samo przyznają, że ofensywa na Smoleńsk i Briańsk utknęły w miejscu, lecz zajęcie Charkowa już po raz drugi w tym roku, stanowi zdobycz bardzo poważną, która może otworzyć wojskom sowieckim drogę na Ukrainę i Zagłębie Donieckie.

CZY NIEMCY OGRANICZAJĄ SIĘ ŚWIADOMIE DO DEFENSYWY, która nigle została uznana przez niemieckich strategów wojskowych

za najlepszą metodę walki? Czy generałowie niemieccy, zwolennicy defensywy, odsunęli już w cień, jak głosi pogłoska, zwolennika ofensywy — Hitlera, o którym dziś dziwnie głucho?

Czy istotnie niemiecki Badoglio jest już w drodze i czeka tylko na wyniki gry Badoglio włoskiego? Trudno to dociec. Być może jednak Włochy odgrywają istotnie rolę królika doświadczalnego w polityce „osi” wobec aliantów, o czym mógłby świadczyć zamiar ogłoszenia Berlina miastem otwartym, zapewne wówczas, gdy tylko uda się eksperyment „otwartego” Rzymu. Z drugiej strony jednak tendencje pokojowe w obozie „osi” stają się zarażliwe, a na pewnych terenach sięgają już głębiej, o czym świadczą nieoficjalne próby czynione w tym kierunku przez Finlandię.

W Berlinie tymczasem ogłoszono nieoczekiwanie zaprzeczenie nigdzie nie ogłoszonej wiadomości, jakoby odbywały się rokowania niemiecko-sowieckie o odrębny pokój. Być może, zaprzeczenie to miało na celu zaniepokojenie aliantów ewentualnością takiego pokoju.

POLITYKA SOWIETÓW jest wciąż przedmiotem dociekań anglo-amerykańskiej publicystyki. O co Sowiety walczą? Czego chcą? Czy zamierzają odnieść zwycięstwo wspólne, czy też wyłączenie własne? Na razie ponoć p. Eden udaje się z Quebec do Moskwy. Krają również pogłoski o projektowanej konferencji trzech mocarstw, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Rosji, w Londynie. Dotychczas wszelkie plany wspólnych obrad zawodziły. Natomiast Litwinow został odwołany ze stanowiska ambasadora w Waszyngtonie i zastąpiony przez mniej znaną osobistość, podobnie jak to stało się z ambasadą sowiecką w Londynie. Obaj ambasadorzy, Litwinow i Majski, objęli stanowiska wice-komisarzy spraw zagranicznych, co może świadczyć, że Rosja przygotowuje jakąś wielką inicjatywę dyplomatyczną, ale co nie koniecznie jest dowodem jej wylewności pod adresem Londynu i Waszyngtonu.

Na wszystkie te i inne grymsy odpowiedziano w politycznych kołach londyńskich półoficjalnym stwierdzeniem, że „dowództwo sprzymierzonych nie da się wzruszyć nawoływaniem do drugiego frontu i do przedwczesnej inwazji generalnej na Francję, Belgię i Holandię, której niepowodzenie musiałyby mieć katastrofalny skutek dla podbitych narodów Europy.” Natomiast korespondencja z Quebec stwierdziła ogólnie, że „żądania sowieckie zostaną spełnione przez rozpoczęcie operacji, które osłabią poważnie Niemców na wschodzie”. Jednocześnie zapowiedziano zwiększenie pomocy materialnej dla Rosji.

SPRAWY SOWIECKIE WIĄŻĄ SIĘ ŚCISLE Z DALEKO WZSCHOD NIMI. Alianci zdobyli znów dwie wyspy na Pacyfiku: Vella Lavella w archipelagu Salomona i Kiska na Aleutach. Ta ostatnia zdobycz oznacza ostateczne wyparcie Japończyków z przedpola Alaski i odzyskanie baz położonych najbliższej Japonii właściwej. Lecz Vella Lavella, jak i Kiska mogą służyć za bazy do akcji dywersyjnej, ale nie do uderzeń zasadniczych. W mniemaniu wielu Amerykanów posuwanie się na Pacyfiku z „wyspy na wyspę” jest nie wystarczające i przedłuża wojnę w nieskończoność. By rozbić

Japonię, trzeba ugodzić ją w samo serce — w Tokio. A czy jest to możliwe bez posiadania bez sowieckich? Pytanie to stawiane jest w Ameryce coraz częściej.

Rosja tymczasem nie tylko milczy na temat tworzenia przez nią „drugiego frontu” w Azji, ale utrzymuje z Japonią stosunki poprawne i jest nawet zaopatrywana przez nią w kauczuk.

DLA STANÓW ZJEDNOCZONYCH jednak rozgromienie Japonii jest głównym i ostatecznym celem tej wojny. Prezydent Roosevelt uznał co prawda za wskazane załatwić się najpierw z Niemcami, a później z Japonią. Napotyka jednak na opozycję izolacjonistów, którzy domagają się skierowania głównego wysiłku amerykańskiego na Japonię. Jeden z przywódców tego kierunku senator Chandler wręcz doradzał, by w Ameryce „wybito sobie z głowy” możliwość uzyskania pomocy rosyjskiej przeciwko Japonii. Wywodził on, według doniesień „New York Times”, że „jeżeli pomagać będziemy do pokonania Rzeszy przed złamaniem Japonii, pokój europejski ustabilizuje się na warunkach rosyjskich, z czym Amerykanie nie mogliby się zgodzić”.

Wszystkie te sprawy musiały być rozważane w Quebec, o czym świadczyły nie tylko udział w rozmowach delegatów Chin i obietnice wzmocnienia dostaw dla tego kraju, ale również niezmiernie stanowcze kilkakrotnie powtórzone zapewnienie brytyjskiego ministra informacji Brendan Brackena, że po pokonaniu Niemiec Imperium Brytyjskie skieruje wszystkie swe siły przeciwko Japonii. Czy Stany Zjednoczone spodziewają się jeszcze uzyskać podobne zapewnienia z Moskwy? Brak ich stanowi zasadniczą komplikację i niewiadomą tej wojny.

NA RAZIE NA ODCINKU EUROPEJSKIM dojdzie może do nowego uregulowania spraw hiszpańskich. Ambasador Wielkiej Brytanii w Madrycie przed udaniami się do Londynu odbył ważną, „szczególnie serdeczną” rozmowę z gen. Franco. Do rozmowy tej przywiązywane jest duże znaczenie. Przewrót, który nastąpił w układzie sił na Morzu Śródziemnym i upadek faszystów wywarły w Hiszpanii, związanej ideowo z „osią”, wstrząs niemały. Ustrój hiszpański poczuł się zachwiany. W Madrycie zaczęto mówić o likwidacji dyktatury i o powrocie do monarchii.

Rząd hiszpański zdaje się zrozumiał, iż w tej sytuacji trzeba poddać rewizji dotychczasową, jednostronną politykę. Prasa hiszpańska zaczęła poprawnie wyrażać się o państwach sprzymierzonych. Zdobyła się na pewne gesty pod ich adresem. Nie sądzimy jednak, by wystarczyły tu słowa. Hiszpania winna zaświadczyć czymś o ewolucji swej polityki. Tym czynem powinno być m. in. zamknięcie obozu koncentracyjnego w Miranda, gdzie w okropnych warunkach przetrzymywanych jest kilkanaście tysięcy obywateli państw sprzymierzonych, wśród których znaczną grupę stanowią Polacy — przeważnie żołnierze polscy, zatrzymani w drodze do Anglii. Warunki życia w Mirandzie są znane. Są one, względnie były tak straszne, że dają się porównać tylko do przeżyć Polaków w Niemczech lub w Rosji. Nie wchodzimy w to, ile zwinili tu nasza indolencja, ale czas już najwyższy, by wrzód ten został przecięty i by obóz hańby urągający wszelkim uczuciom chrześcijańskim i ludzkim uległ likwidacji. D. I.

## „WATERLOO BRIDGE”

## OBRONA NAMIEŃNOŚCI

Streszczenie filmu: Rzecz dzieje się w czasie wojny światowej. Kapitan Cronin poznaje młodą tancerkę Myrę i postanawia ożenić się z nią w ciągu swego dwudniowego urlopu. Jako oficer ekskluzywnego pułku gwardijszko-cyckiej musi otrzymać pozwolenie szefa pułku, Duke'a, który zresztą jest jego wujem. Duke zgodza się, lecz małżeństwo nie dochodzi do skutku, ponieważ urlop kapitana zostaje przerwany. Myra tymczasem trafia do posesady w balceie Madame O. Wraz z koleżanką Kitty cierpi rosnący niedostatek. Gdy spotyka w gazecie fałszywą wiadomość, że Cronin zginął, załamuje się. Przez sześć miesięcy pielęgnuje ją Kitty. Po wyzdrowieniu, Myra dochodzi źródła z jakich Kitty, która już raz jako tancerka rewiiowa zasmakowała łatwiejszego życia — czerpie fundusze na opędzenie skromnych potrzeb ich obu. Myra nie chce być gorsza od swojej przyjaciółki. Pewnego dnia, gdy szuka na dworcu klientów wśród urlopników, zjawia się Cronin. Jest zaskopiony i mimo pewnych aluzji Myry nie chce zrozumieć sytuacji. Zabiera ją do Szkocji, gdzie Myra zdobywa sobie zaufanie i miłość jego rodziny, nie wyłączając Duke'a. Ona sama jednak nie może przezwyciężyć wstrętu do samej siebie, wyznaje prawdę matce Cronina, odjeżdża i na moście Waterloo w Londynie, gdzie po raz pierwszy spotkała Cronina i gdzie zaczęła ją pierwszy klient, rzuca się pod samochód.

Chcę zwrócić uwagę na kilka cech filmu „Waterloo-Bridge”, które sprawiają, że jest to film wyjątkowy. Nie zgadzam się z tymi, którzy sądzą, że jego wartości tkwią wyłącznie w rzemiośle reżyserskim i aktorskim i którzy jego fabułę uważają za „nielogiczną” czy zgola „idiotyczną”. Podejmując się wykazać, że wszystkie wartości tego filmu wypływają właśnie z fabuły i że jeżeli reżyseria, gra aktorów i ilustracja muzyczna są tak doskonałe, to właśnie dlatego, że tak dokładnie oddają intencje scenarzysty.

W filmie „Waterloo-Bridge” rewolucyjna jest już sama koncepcja miłości — oczywiście, rewolucyjna wobec przyjętego powszechnie konwensu filmowego. Przeciętny scenarzysta składa obłudny hołd miłości, pojętej jako ideał, który występuje w rzeczywistości. Ideał jest tylko parawanem, konwencjonalnym ukłonem, składanym cnotcie. Niby w śnie nieprzystojnym, podniecenie widza rośnie w miarę, jak warunki,

stworzone przez środowisko, odwiekają moment połączenia się kochanków. Kopulacja jest zwycięstwem normy: po „happy-endzie” następuje odprężenie. Naturze stało się zadość. Kochankowie przestają nas interesować: nie wątpimy, że gdy spotkają się z inną nieskonsumowaną jeszcze miłością — zachowują się wobec niej tak samo, jak wobec nich zachowywało się przez cały czas środowisko.

To środowisko jest przy tym całkowicie zgodne z widzem, który wie, że tak czy owak happy-end nastąpi, ale że jego wartość, tzn. ściśle biorąc intensywność będzie tym większa, im bardziej się odwiecze i im większa na pozór zmóc będzie musiał trudności. Chociaż więc (pór środowiska powinien być rzeczywisty, to jednak musi być bez sensu: z punktu widzenia interesu kochanków jest on wrogi, ale zarazem głupi, tępy, złośliwy. Widz przeciętnego filmu ma „ideologię” kopulacji: co nie za kopulacją, to przeciwko niej! Wrogi staje się wszystkie — choćby najrozumnniejsze — motywy, które kopulacji tych dwojga przeciwstawia środowisko. Tu jest siła żywiołowa, która łamie wszystkie prawa. I jestestny spokój, i to istotnie je złamie: za kochankami w pewnej chwili zamkną się drzwi małżeńskiej sypialni legalizując żywioł. To prawda, widzowi potem zostanie czołoch i zmęczenie: zwycięstwo żywiołu często okupione jest kłębą zbyt oczywistych prawd i praw. Gdy światło w kinie się zapala, prawdy te i prawa — w obliczu „żywołu” wyblakłe w nonsens — wracają na swoje miejsce, nimo że są teraz jeszcze bardziej nieznośne, niż przedtem.

W „Waterloo-Bridge” inaczej: w przeciwieństwie do tylu innych filmów, gdzie kochankowie są dla siebie nawzajem „przeznaczeni” trochę pod przymusem, z woli autorów, bez oczywistości — w „Waterloo-Bridge” nic nie wydaje nam się bardziej naturalne i konieczne, jak to spotkanie. Toteż — kiedy zaczynają się gromadzić przeszkody — jakże chętnie zajęlibyśmy stanowisko wroga wobec tych, którzy je stwarzają. Ale począwszy od surowej kierowniczkii baletu, a kończąc na Duke'u, którego podejrzewamy po trochu, że przyspieszył wyjazd Cronina na front — musimy przyznać, że ich racja

jest wyższa, niż nasza „ideologia kopulacji”.

W tej atmosferze prawdziwego ładu i wspaniałej hierarchii wartości nasza para kochanków jest wcieleństwem lekkomyślności. Ten poryw, który młodemu kapitanowi każe narazić się dowódcy, a obiecującej tancerce — wystawić na szwank całą karierę artystyczną i życiową — czyż nie jest jednak pięknym porywem, nadającym życiu sens? Czy nie dla takich ludzi i czy nie dla takiego szczęścia stworzony jest świat? Nie mamy żadnych zastrzeżeń przeciwko temu, by młody arystokrata szkocki wprowadził do swojej starej rodziny to uroczę stworzenie, które na pewno będzie najlepszą żoną i najbardziej czułą matką. Czyż nie dla takiego szczęścia stwarzamy ład społeczny, bezpieczeństwo i łagodne obyczaje? Kiedy stary Duke po chwili wahania udziela planom małżeńskim Cronina swego błogostwa — utwierdzamy się w naszym przekonaniu, że wszystkie te stare i surowe instytucje po prostu istnieją, by stanowić ramę dla takiego życia. Myra opuści swój balet, ponieważ jej świat przestał się wokół niego obracać: jej przeznaczeniem nie jest zakon Terpsychory, jak to się wydade surowej Madame. Uśmiechamy się pobłaźliwie, gdy Myra i Kitty nie wierzą ogromowi szczęścia, jakie zagościło nagle w ich monotonnym życiu.

A jednak w wahanii Duke'a i w jego dobrotliwym kłamstwie o niedziej ciotce-tancerce musimy dostrzec pierwszą chmurkę na czystym horyzoncie idylli miłosnej Cronina. Bo dosłownie tego kłamstwa brać nie możemy, jeżeli nie zechcemy — wbrew oczywistości — traktować Duke'a jako farsowego ramola. To jest nie tylko głowa starej arystokratycznej rodziny, ale w dodatku protektor jednego z najbardziej ekskluzywnych pułków kawalerii brytyjskiej. Ten człowiek nie może być podejrzany o frywolność — zwłaszcza tam, gdzie chodzi o takie sprawy, jak przyszłość rodu. Toteż — kiedy mimo usunięcia głównej przeszkody ślub nie dochodzi do skutku od razu i kiedy urlop kapitana zostaje przerwany — rozumiemy, że pociąg, który zabiera Cronina i pozostawia Myrę nieomal w rozpacz, jest symbolem próby, na jaką wystawiona będzie ta młoda dziewczyna. Cronin jest szczerze nie wydaje nam się lekko-myślny, wierzymy, że miał prawo zanafć swojej wybranej. Odłożony ślub jest pierwszą próbą, którą Myra wytrzyma zwycięsko. Trudną sytuację materialną, w jaką popada po utracie posesady w balceie, znosi również dzielnie, co podziwiamy tym bardziej, że na przykładzie coraz bardziej melancholijnej Kitty widzimy, jakie to musi być trudne.

Ale los staje się okrutny i zbyt wiele wymagający: fałszywa wiadomość o śmierci Cronina powala Myrę na długie miesiące. To prawda, autor nie ma odwagi przypisać jej ostatecznego upadku — który potem następuje i bez którego nie byłoby tragedii — ani tkwiącym w niej niskim instynktom ani nawet jej niskiemu pochodzeniu, które nie mogło jej dać tych oporów wewnętrznych, jakie są konieczne, by człowiek zamiast bańki wybrał śmierć. To prawda, sugestia, że Myra wychodzi na ulicę, by nie być gorszą od Kitty — jest w złym guście. Ale bez tego fałszerstwa psychologicz-

nego, bez tego sztucznego uszlachetnienia baniebniej decyzji nie byłoby tragedii i straciłobyśmy wszelkie zainteresowanie dla dalszych losów Myry. Po niespodziewanym powrocie Cronina Myra byłaby tylko zwykłą łowczynią szczęścia. Gdyby jej hańba była także jej winą, nie mogliśmy jej współczuć, nie mogliśmy wraz z nią przeżywać meki, która zmusza ją wreszcie do wyznań wobec lady Małgorzaty.

W perspektywie konwencjonalnej filmowej „ideologii kopulacji” — chwila niespodziewanego spotkania Myry z Croninem na dworcu Waterloo jest nagle rozjaśnieniem się horyzontu, obietnicą happy-endu. W perspektywie tego filmu jednak moment ten jest dopiero pierwszym akordem tragedii: wszystkie dowolności i nonsensy, jakie gromadziły się od chwili nagłego wyjazdu Cronina — w tym momencie otrzymują swoje artystyczne uzasadnienie. To kruche stworzenie, do szaleństwa opianowane jednym uczuciem i po złamaniu tego uczucia obumarłe wewnątrz — staje się bohaterką tragedii. Ma do wyboru — i wybór ten całkowicie jest w jej ręku — albo wydać na siebie wyrok stając przed ołtarzem z Croninem, albo uratować się idąc dobrowolnie na śmierć. Uwielbiliśmy ją, jak ją uwielbiał Cronin i jak on nie chcemy być oszukani. Ona musi popełnić samobójstwo, jeżeli nie mamy przestać jej uwielbiać. Stanie się dla nas symbolem namiętności, dla której nie ma miejsca na tym świecie, ale która nie depce praw stanowiących o jej szlachetności.

Pójdziemy za Myrą jak psy gończe i będziemy śledzić każdy jej krok i każdą myśl. Miałaby dosyć powodów, by umknąć przed swoim losom, co więcej, mogłaby — gdyby chciała — ucieczkę tę usprawiedliwić przed samą sobą jako ofiarę: rozgrzeszając się za swoją przeszłość, zachowałaby Croninowi szczęście, bez którego życie jego będzie puste i pięknie. Nic temu nie stoi na przeszkodzie: w starym dworze szkockim Myra zdaje wszystkie egzaminy, podejrzliwy Duke przeważa szaleńienności otoczenia swoim autorytetem. To prawda, jego pewność nie jest zupełna, jakiś cień podejrzenia pozostaje w nim, gdy tłumaczy jej symbolikę dwóch skrzyżowanych kłosów, odznaki pułkowej szkockich huzarów. Ale Duke nie ma żadnych dowodów, a Kitty będzie milczała jak grób.

Gdy lady Małgorzata, matka Cronina, ostatecznie zapewnia Myrę o swoim zaufaniu, gdy mówi jej, że uważa ją za szczęście dla swego domu — tj. gdy wszystkie okoliczności zmuszają ją do kapitulacji — Myra spełnia swoje przeznaczenie, wyznaje prawdę matce Cronina i odchodzi na zawsze. „Uciekła nam — powie Cronin, gdy dowie się prawdy od Kitty — będą jej szukał wiecznie i nie znajdzie jej nigdy.” Scena na moście Waterloo, tym moście, który symbolizuje los Myry i którego przejmujący motyw muzyczny przewija się przez cały film — jest już tylko artystycznym finałem, czyni w rodzaju apoteozy. Myra pozostała wierna swojej namiętności, dla której nie ma miejsca na tym świecie, ale która nie depce praw stanowiących o jej szlachetności.

Mieczysław Roman



TE I TAMTE

rys. L. Wiechecki



# TROPAMI CIERPIENIA I MIŁOŚCI

(DOKOŃCZENIE)

polskim, posadzając, że ją znów chce wydać Rosji...

Do rozmowy miesza się milczący dotąd lekarz:

— Naznaczono mnie do szpitala w Teheranie wkrótce po jego sformowaniu. Nie zapomnę pierwszego obchodu.

Jakaś kobieta podłożyła walizkę pod poduszkę, bo duszność nie pozwala jej leżeć. Oddech ściganego zwierzęcia. Serce bije jak chce. Arytmia perpetua, vitium cordis decompensatum. Aplikuje glukozę ze strychniną. Może uda się uratować... Chora wlepia oczy we mnie: „Czy wrócę?”

Mały Bronuś — na łóżku obok drugiego dziecka leży szkielecek w kałuży oddawanego nieświadomie moczu i kału. W tym dziecku żyją jeszcze tylko oczy — ogromne, czarne smutne oczy.

Zosia Zającówna — z twarzą pochyloną w bok, umęczoną przez gruźlicę, z szeroko rozwartymi

wszyscy — interniści, okuliści, ginekolodzy, chirurdzy, laryngolodzy, neurologi — wszyscy przemienili się w pediatrów.

Doktor pamięta jak ratowali małego Witusia. Na czwarty dzień choroby wywiązało się lewostronne zapalenie płuc, na szósty — prawostronne. Kiedy udało się je opanować, powstaje w drugim tygodniu zapalenie obu uszu, laryngolog przekłwa blony bębenkowe, ropa płynie strumieniem, tymczasem w trzecim tygodniu poczyna dziecko nękać gwałtowna biegunka, odnawia się już dawno wygasły proces gruźliczy, dołącza się zapalenie śliniczek podszczękowych i w końcu — koklusz. Zastanawialiśmy się, skąd dziecku starczy tyle sił na to wszystko.

A w tej walce o życie biedaków z Rosji mieliśmy zaledwo dwie wykwalifikowane siostry.

Mówią o dzieciach, jakby nie miały setek pacjentów dorosłych. W oczach ich wszystkich stoi straszna wizja

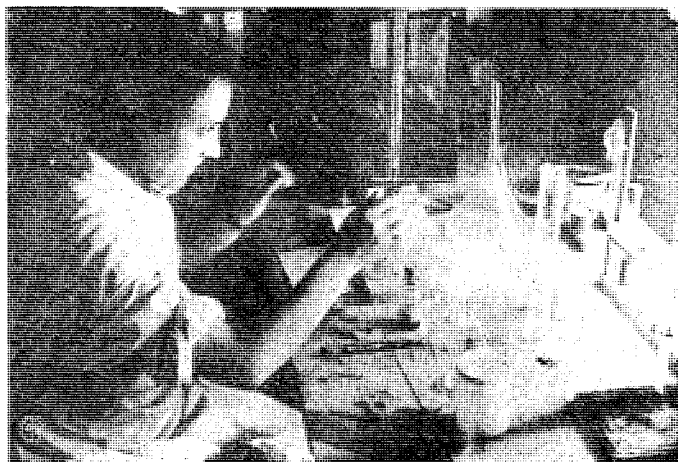
młodych jestestw, które ginęły w oczach personelu na choroby, które w normalnych warunkach dałoby się opanować. Te dzieci — męczennicy, to całkiem inny typ dziecka. Widziałem tych odratowanych chłopców w szkołach rzemieślniczych, z jakim nabożeństwem przykładają się do pilnika, z jakim dorosłym poczuciem dojrzalego człowieka patrzą przed siebie. Pokazywano mi jednego z nich, który mając dwa naście lat, utrzymywał rodzinę złożoną z siedmiu osób, spekulując machorką, którą szmuglował na niewiarogodne przestrzenie.

Opowiadały mi świetliczarki, że kiedy poczęto tworzyć pierwsze przedszkola i kiedy próbowały utartymi przedwojennymi wzorami inicjować gry w kotka i myszkę, w „łata ptaszek po ulicy” — patrzyły na nie

oczy starców, oczy z pomarszczonych twarzączek, tak że im piosenka zamierała w półsłowa, bo okazywała się w tych warunkach głupawa, pustą i w swojej obcości bezdennie tragiczną.

— Pamiętam to było 7 października 1942 r. — mówi cicho jedna z siostr — doszczętnie zżarty przez pelagrę (brak witamin) czterastoletni junak (rodzaj harcerzy, których opieka organizowała w specjalne hufce dla szkolenia i dla pracy) Marian Sirzałkowski poprosił mnie o przyprowadzenie z sierocińca trzyastoletniego brata. Rodzice chłopców zmarli w Rosji. Kiedy młodszy, Wincenty, stanął przy jego łóżku, poczuł go jak ma się zachowywać, aby się ustrzec zaziębienia i malarii, oddał mu swój scyzoryk, pożegnał i prosił, aby brat pozdrowił od niego wszystkich w Polsce. Z trudnością przypominał sobie, komu brat ma oddać pozdrowienia w Polsce, którą opuścił, gdy miał 11 lat. Rekonstruował to sobie mozolnie z pamięci i ze słów umierających rodziców, starając się przekazać ich ostatnią wolę temu ostatniemu żyjącemu. Chłopcy mówili ze sobą z powagą starców, którzy widzieli wiele zgombów. Uściskali się. Marian zmarł 12 października.

— Urządaliśmy im św. Mikołaja — mówi jedna z siostr i głos jej się łamie i nie wiadomo czy uśmiecha (Ciąg dalszy na str. 10)



W laboratorium szpitalnym

oczami i strumyczkiem krwi sączącej się bezlitośnie kącikiem ust.

Janek — wycieńczenie, wada serca nie wyrównana, zapalenie nerek, zapalenie płuc obu stron, zapalenie opłucnej. Twarz siedemdziesięcioletniego starca. Stracił w Rosji ojca, matkę, dwie siostry. Co za żywotność dziecka, które nie chce umierać. Szepcze, jakby legitymując niezaprzeczone prawo do życia — że w Polsce czeka na niego babcia i piesek Filuś, który na pewno tęskni do niego. Ale Filuś by nie poznał zapewne, zapewne by szcekał na twarzączkę siedemdziesięcioletniego starca.

... i tak bez końca: glukoza ze strychniną dożylnie, glukoza z cardiazolem, kofeina, pół litra soli fizjologicznej podskórnie, środki cucące podskórnie co trzy godziny.

Mnożyły się objawy oponowe czy mózgowy. Z jaką trwogą patrzyliśmy, czy z igły punkcyjnej spływać będzie wodojasny płyn, czy ropa.

Opanowaliśmy falę duru plamistego, poczęła się odra. Odra, tak niewinna i częsta choroba dziecienna w kraju, tutaj — kończąca się niemal z reguły zapaleniem płuc, którego wyniszczono do ostateczności dziecinne organizmy nie były w stanie przetrzymać.

W naszych oczach dzieci marły setkami. Rzucili się do pomocy

**WALKA O ŻYCIĘ DZIECI** A potem poczyna mówić o pierwszych ciężkich dniach w Ziemi Obiecanej, już w Persji. Z Rosji zdołał rząd polski ewakuować sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i ludności cywilnej i te siostry należały do szczęśliwych, które się przedostały.

— Na plecach chorych chemicznym ołówkiem było wypisane „tyfus plamisty”, albo inna diagnoza. O żadnych kartach indywidualnych mowy nie było.

— A te psychozy na tle pelagry... (brak witamin)

— Ci żołnierze chorzy, szukający błędnym wzrokiem nieustannie po sali zaginionych rodzin (przy wywożeniu często rozdzielano rodziny).

— Ta dziewczynka, co od każdego odgradzała się srebrnym orzełkiem

(Skonfiskowane)

